

# Kamena

NR 10 (856)

18 maja 1986

Cena 15 zł



PL ISSN 0137-4128 N2 180000 5253



Rys. Józef Tarłowski

## MAROKO ● PORTUGALIA ● ANGLIA

### W naszej grupie...

**M**EKSYKAŃSKIE mistrzostwa tuż, tuż. Przedmistrzostwa „harcownicy” schodzą z pola, walizki się dopinają, garnitury prasują, emocje rosną. Rośnie także liczba spekulacji na temat poszczególnych ekip, formy, w jakiej aktualnie się znajdują, faworytów i outsiderów, taktyki i techniki, odporności fizycznej i psychicznej. Nim wszystko zweryfikuje życie, dobry to moment, by raz jeszcze dokładniej przyjrzeć się rywalom z naszej grupy eliminacyjnej, spróbować, nim ruszy wielka karuzela, realnie przebadać nasze szanse i przemyśleć zagrożenia. W rozpatrzeniu odległych medalowych pokus warto powrócić do punktu wyjścia. Niemal regułą mistrzostw świata stała się już zasada „jednego meczu” wyznawana przez reprezentacje z tzw. czwartego koszyka, drużyny teoretycz-

nie najsłabsze, pełniące rolę futbolo- wych Kopcuszków, znajdujących swoje miejsce w finałach niejako „z klucza”. Potwierdzeniem tej reguły niech będzie choćby występ KRLD na mistrzostwach w 1966 roku, porażka RFN z Algierią w Hiszpanii, czy nasze katorżnicze meki w meczach z Tunezją, a potem z Kamerunem. Jedenastki tych outsiderów rzadko stają się „czarnym koniem”, rzadko udaje im się wywędrować wyżej po mundialowej drabinie, ale niemal zawsze potrafią popsuć szyki faworytom, pokusić się o jednorazową niespodziankę, zadziwić jednym, nader udanym występem. W istocie ich mistrzowskie ambicje właśnie do tego się sprowadzają. W świadomości tego faktu nie ma nic odkrywczego, a jednak niezmiennie wydaje się on umykać powszechnemu postrzeganiu. Kibice, skazujący a prio-

ri tych „słabeuszy” na porażki, przeżywają potem często gorzkość rozczarowania.

I w tym właśnie widzę największą, potencjalną pułapkę naszego pierwszego meczu z Marokiem. W tym, a także w drugiej już niemal regule, tym razem z domowego podwórka, stwierdzającej, iż Polacy nie potrafią występować w roli faworyta. Znacznie bardziej odpowiada nam pozycja teoretycznie słabszego, kiedy to typowe, narodowe cechy „stawiania się” mogą znaleźć ujście w zadziorności, fantazji i zaskoczeniu. Osobiście nie pamiętam dobrego meczu polskiej drużyny z nisko notowanym rywalem. Jedynym chyba wyjątkiem w tej mierze był mecz z Haiti podczas mistrzostw w RFN. Ale tam zwycięstwo przyszło niejako z marszu po doskonałym występie przeciw Argentynie. Następ-

ne nasze konfrontacje ze „słabeuszami” regułę tę tylko w pełni potwierdzają.

Trener Maroka, Brazylijczyk Jose Faria, niejednokrotnie w przedmistrzostwowych wywiadach podkreślał, iż jego drużyna nastawia się na jednorazowy sukces, na pokazanie się z jak najlepszej strony w premierowym meczu właśnie z Polską. To fakt, iż trener Piechniczek wypowiedział wiele ciepłych słów o Marokańczykach; to fakt, że większość zawodników i oficjeli podkreśla prawdę, iż tego przeciwnika nie można lekceważyć; ale to także fakt, że między takimi słowami, a autentyczną, psychiczną koncentracją z nich wypływającą, istnieje ogromna przepaść. Przed argentyńskim Mundialem także każdy podkreślał pełne uznanie dla Tunezji, a potem dwukrotnie słupek ratował Polaków od porażki. Nie inaczej było przed meczami z Kamerunem i Peru w Hiszpanii.

Marokańczycy są drużyną nieźle wyszkoloną technicznie, wybieganą, pełną polotu i fantazji. Jak u większości drużyn tego regionu, ich brylowanie z piłką kończy się jednak z reguły przed linią pola karnego; szwankuje dyscyplina taktyczna, zawodzi skuteczność i często kondycja. Proste środki piłkarskie okazują się jednak często najbardziej skutecznymi. W konfrontacji z „szachowymi” umiejętnościami drużyn europejskich, przyzwyczajonych do żelaznej reali-

Dokończenie na str. 3

# z notatnika

I.V. W przededniu 1-majowego święta wojewódzka akademia w (lubelskim) Ursusie. Tym razem — w hali produkcyjnej o imponujących rozmiarach. Część uczestników zajmuje miejsca na krzesłach, część stoi. Dekoracja trochę dziwna. Tak przywykliśmy do picassowskiego gołębia pokoju, a tu nad estradą pyszni się gołęb przypominający... ducha z satyrycznych rysunków. Składanka artystyczna — mimo niezłych przecięt wykonawców! — nie ma klarownej myśli przewodniej. Znacznie bardziej podobało mi się to, co zaprezentowano przed rukiem na akademii wśród górników... Myślami wracam do dawnych akademii organizowanych w Teatrze im. J. Osterwy, choć już z góry wiem, że ktoś mi zarzuci konserwatyzm. Proszę wybaczyć — siwych włosów coraz więcej i tych akademii (pierwszomajowych) trochę się w życiu pokończyło, więc jakąś skalę porównawczą człowiek posiada. Czas się wprowadzić zmieniają, ale moim skromnym zdaniem o odpowiednim scenariuszu należałoby już myśleć w styczniu. (Ta uwaga odnosi się również do akademii centralnej, transmitowanej przez telewizję).

1 Maja przemarszerowałem w pochodzie przez Krakowskie Przedmieście i Lubartowską, by na Placu Żeban Ludowych wysłuchać przemówienia generała Wojciecha Jaruzelskiego. Krótkie, ale treściwe. Pięknie mówił i sekretarz KC PZPR o tym, że nie ma nic ważniejszego nad główny patriotyczny cel: rozwój i bezpieczeństwo kraju. Żadne różnice poglądów nie zwalniają z poczucia odpowiedzialności za losy ojczyzny. Nie ma realistycznej alternatywy dla programu porozumienia narodowego. „Skąd kto przychodził — nie pytaliśmy wczoraj, tym bardziej nie pytamy dzisiaj”.

Ja też staram się nie pytać, ale to wcale nie oznacza, że gdzieś w głębi tego mego ja nie rośnie pewna wątpliwość. Przypomni mi na przykład księżki tekst (mniej więcej o tym, że temat) zupełnie apolityczny, a ja ciągle nie mogę zapomnieć, co tenże sam księżki wypisywał na temat czysto polityczne na lamach różnych biuletynów w 1981 roku i co mu wówczas w głowie grało. Pal jednak licho księżki, może dojrzał, przelamał się wewnętrznie? Jak mam się jednak ustosunkować do Ygrekowskiego, który dzisiaj próbuje mnie pouczać? Pół biedy, kiedy ówże Ygrekowski siedział w 1981 roku jak mysz pod młotem, ale taki na przykład Zetowicz zdecydowanie krążył po wiadomej orbicie, a teraz stał się niemal wyrocznią w sprawach określanych mianem nadbudowy.

Księżki, Ygrekowski, Zetowicz... A dlaczego nie po nazwisku? — ma prawo zapytać czytelnik. Jeśli zajdzie potrzeba, będzie i po nazwisku! Na razie przyglądam się, czasem oczy bardzo szeroko otwieram, dziwnie mnie zarówno metamorfozy niektórych ludzi, jak i — z drugiej strony — skostniałe innych. I z jednym i z drugim, powiem szczerze, nie chce mi się rozmawiać, chyba że któryś z nich nadejmuje mi na odskok.

7.V. Nie ma czego ukrywać: oczywiście pojawiło się i uczucie strachu. Znajomy na przełomie kwietnia i maja trafił do szpitala — mniejsza z tym, którego — i tu na własnej osobie do-

świadczył skutków awarii w czernobylskiej elektrowni atomowej. Leżał już nie po raz pierwszy, więc pewną skalę porównawczą posiadał. Lekarze, pielęgniarki, salowe tak byli zaangażowani groźbą skażenia, że zapominali nawet o podawaniu chorym lekarstw (że już o podawaniu basenów nie wspomnę). Atmosfera podniecenia — dzielala się i pacjentom, którzy — zdezorientowani nieustanną bieganiem, chłonący strzępki rozmów — popadali w stany frustracji. No, bo jeśli lekarze, którzy wiedzą najlepiej, stali się tak nerwowi, to miasto musi czekać biologiczna zagłada...

Tymczasem lekarze sami sięgali do odłożonych na półki podręczników, słuchali oficjalnych komunikatów, ale także — czego już czynić nie powinni — kolportowali różne plotki. Oczywiście nie uogólniam, ale sam musiałem w kilku wypadkach przeciwstawić się tej hysterii.

Oburzające, że zachodnie szczekaczki, zwłaszcza monachijska „Wolna Europa” (diabli niech wezmą taką wolność!), nie pominęły okazji, by siać zwątpienie do oficjalnych komunikatów polskiej komisji rządowej, w której skład wchodzi poważne autorytety naukowe, by pogłębiać ów strach, a jednocześnie podniecać antyrządzieckie nastroje. A rozgłoszonia „Głosu Ameryki” pewnego wieczoru podała najpierw informację o badaniach przeprowadzonych w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie: wyniki były identyczne jak wyniki uzyskane przez ekspertów polskich. Rozgłoszonia potwierdziła, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa dla zdrowia, ale w dalszej części programu nadała fragmenty misterycznego przemówienia Zbigniewa Brzezińskiego wygłoszonego dla przedstawicieli Polonii (w języku angielskim zresztą). Tak cukier zmieszano z solą... A że jedna wiadomość przeczyła drugiej? Waszyngtońscy propagandyści nie mogli z Brzezińskiego zrezygnować.

Oczywiście można wrzucić i kamyczek do własnego ogródka. Bardzo niefortunny był nadany późnym wieczorem w telewizji komunikat o tym, że wprowadził w Warszawę nie ma żadnego niebezpieczeństwa, nie mniej zalecano podawanie dzieciom płynu Lugola. Dlaczego tylko w Warszawie? Dzieci lubelskie są niby gorzej? Później obowiązek podawania Lugola rozciągnięto na cały kraj działając w myśl zasady: maksimum wiedzy i zabezpieczeń, minimum paniki. Paniki tu i ówdzie uniknąć się zresztą nie dało, co należy rozumieć, bo wiedza naszego społeczeństwa a nawet naszej służby zdrowia na temat skażeń jest uboga. Ja sam gdy przeczytałem, że w latach 1962—1963, kiedy na świecie przeprowadzono próbną nazemną wybuchy jądrowe, promieniowanie w Szwecji było dwudziestokrotnie wyższe niż obecnie, spokojnie zasiadłem do konsumowania salaty. (Panowie, nazywani badylarzami robię wam reklamę! Wiem, że wszelkie straty odbijecie sobie przed Świętym Zmarłym!)

Nie mniej fakt jest faktem. Stało się nieszczęście. W Czernobylu, choć awaria mogła nastąpić i w każdej innej elektrowni atomowej. I awarie już bywały w przeszłości, choć ich skutków nie odczuwaliśmy bezpośrednio. Warto tu przypomnieć, że elektrownie atomowe działają już, lub są budowa-

ne, w 30 krajach świata. Jedną powstała nawet w Bangladeszu! Połowę istniejących elektrowni zlokalizowano w USA. Rozwój techniki uważany jest za dobrodziejstwo dla ludzkości, ale każdy medal ma dwie strony. Nawet jeśli zastосуje się maksimum środków bezpieczeństwa, zawsze wszystko może się wydarzyć. Czasem nagłe pęknięcie opony samochodowej doprowadza do śmierci kierowcy i pasażerów. Dlatego należy więc przestać korzystać z tego środka transportu?

Awaria w Czernobylu nasuwa wiele wniosków. Dla wszystkich mieszkańców planety Ziemia. Możemy być od siebie oddzieleni politycznie i geograficznie, możemy się kochać lub nie, ale przecież, znać lub nie znać wzajemnie, chcąc ze sobą rozmawiać lub nie, nie jesteśmy połączeni więzami, których nikt nie rozerwie. To samo niebo nad nami. To samo powietrze, choć, oczywiście, bardziej lub mniej zanieczyszczone w zależności od usytuowania zakładów przemysłowych. Stąd takiej wagi nabierają problemy ekologiczne. Wszędzie. Pod każdą długością i szerokością geograficzną.

Drugi wniosek. Awaria w Czernobylu była awarią elektrowni. Jakże szkody może przynieść awaria, podkreślam zwykła awaria, pocisku jądrowego? Bakteriologicznego? Chemicznego? Jakże szkody przyniosą naturze nawet próbną podziemną eksplozję nuklearną? Czym grozi ludzkości przeniesienie zbrojeń jądrowych w Kosmos, do czego tak usilnie prezydent Reagan dąży. Co będzie jeśli tam coś się zdarzy nieprzewidzianego? Amerykański prom kosmiczny uchodził za bezpieczny. Spłonął po starciu.

Trzeci wniosek. Jeśli ludzkość chce przeżyć, musi zaprzestać gigantycznego wyścigu zbrojeń. Ziemia jest dzisiaj jedną wielką beczką, nie prochu już, ale atomu. Zawodzą czyjeś nerwy, zawodzi jakiś mechanizm i zieleń całego świata przekształca się w popiół. A my razem z zielenią.

Chwila zadumany potrzebna jest wszystkim. Choćby chwila...

9.V. 61 rocznica zwycięstwa nad faszyzmem. Prawa biologii są nieubлагane: co roku topnieją szeregi tych, którzy walczyli z najeźdźcą. Dla dzisiejszych dziesięćdziesiąt lat 9 maja 1945 r. jest dwukrotnie bardziej odległy w czasie niż dla mnie w przeddzień pamiętnego Września 11 listopada 1918 r. Kiedy oglądam w telewizji uczestników Powstań Śląskich, przypominają mi się przedwojenne zdjęcia uczestników Powstania Styczniowego, tych nielicznych, którzy dożyli wskrzeszenia Polski. Minie nie tak znów wiele lat i tak samo dzieci naszych wnuków (naszych, czyli mojego pokolenia) będą patrzeć na ostatnich weteranów drugiej wojny światowej...

Słusznie stwierdza J. Kisielewicz w „Sztandarze Ludu”, że „w dzisiejszym narodzie polskim nie ma śladu poroborowej alergii i dręczącego pytania o trwałość istnienia państwa i naszego miejsca pod słońcem”. Inna rzecz, że nie dla wszystkich to miejsce jawi się kolorowo. Mają w pamięci rok 1918, ale łatwo zapominają, że po dwudziestu latach Polska ponownie została starta z mapy Europy i że jej powrót na tę mapę kosztował tyle istnień ludzkich...

Zmieniam temat. Rozpoczął się Wyścig Pokoju. W tym roku wzbudza on nieco mniejsze zainteresowanie, bo, jak na razie, drużyna polska specjalnych sukcesów nie odnosi. Zabrakło w niej dwóch czołowych kolarzy: Piaseckiego, który przeszedł na zawodowstwo, i Mierzejewskiego, którego dręczy kontuzja. Są lata tłuste i są lata chude, chociaż z góry krakak nie warto. „Perspektywy” ujawniły, że od lat obowiązuje w wyścigu, co jest zrozumiałe, nagrody pieniężne. W tym roku za zwycięstwo etapowe w ZSRK — 200 rubli, w Polsce — 15 tys. zł, w NRD — 600 marek, a w Czechosłowacji — 1800 koron. Zwycięzca wyścigu otrzyma skodę. Ponieważ zwykła na zwycięzcy pracuje cała drużyna, skoda pójdzie zapewne do podziemia... Cóż jednak znaczą te wszystkie gratyfikacje, jeśli się spojrzy na kulisy boisk piłkarskich!

10.V. Marian Makarski w dzisiejszym „Sztandarze Ludu”, żali się urbi et orbi: „O literaturze współczesnej pisze się niewiele, prawie nic, unikając w dodatku problemu. Nie ma książek roku, literackich wydarzeń, polemik. (...) Chodzę ulicami miasta, gdzie nikt mnie już nie zna, ani ja nie znam nikogo...”

Marianku drogi, zamiast chodzić ulicami, gdzie nikt Cię nie zna i gdzie Ty nie znasz nikogo, zajdź (po sąsiedzku) do Klubu MPIK (ul. Leonarda) i weź do ręki „Kulturę”, „Przebieg Tygodniowy”, „Życie Literackie”, „Literaturę”, „Poezję”, „Nowe Książki” albo — według ewent. upodobania — „Tygodnik Powszechny” (że wymienię tylko te tytuły, ale i „Kamena” mógłbym dorzucić), a przekonasz się, że o literaturze współczesnej wcale tak mało się nie pisze. Na polemiki też natrafisz, ale co nieco będziesz musiał poszperać. Dla chcącego (jeśli ktoś jest „chcącym” rzeczywiście) nie ma nic trudnego!

Nie pisz również w partyjnej (a więc i mojej) gazecie, że „w naszych warunkach rolę środowiskowego racynu spełniały związki twórcze, których rozwiązanie przyczyniło się — co tu ukrywać — do swoistego marazmu”. Owszem, jedne związki twórcze po 13 grudnia 1981 r. rozwiązano (wraz z diabelem), ale powstały nowe, jak chociażby Związek Literatów Polskich, a na Twoim podwórku Związek Polskich Artystów Malarzy i Grafików czy Związek Artystów Rzeźbiarzy. Fakt, że ich oddziały nie ma w Lublinie, ale jest również faktem, że niektórzy Twoi mieszkowcy koleday plastycy do tych związków należą, choć nie w... naszym mieście. Jeśli zaś chodzi o — cytuję Ciebie — „swoiści odzwierciedla go reprodukowana w tymże numerze „Sztandaru” praca (olej na płótnie) Ryszarda Lisa, zatytułowana „Rezygnacja”. Zapewniam (również urbi et orbi), że gdyby Ryszard oszalał i podarował mi ją w prezencie, mógłbym na to ponure dzieło znaleźć miejsce tylko w podziemi. Czyli w piwnicy! Taką już ze mnie profan!

11.V. W „Tygodniku Powszechnym” dane z pisma „Notitiae”, publikowanego przez Kongregację Kultu Bożego w Watykanie. Z danych tych wynika, że do XX wieku kanonizacja była wydarzeniem rzadkim w Kościele. W wieku XVII odbyło się 11 kanonizacji, w wieku XVIII — 9, w wieku XIX — 8, natomiast w naszym stuleciu tych kanonizacji było aż 77!

Świętych więc przybywa. I to jest akcent optymistyczny!

M. A. Jaworski

## KRONIKA KULTURALNA

W ostatnich dniach kwietnia w sali lubelskiego Teatru Lalki i Aktora występował gościnnie teatr z Brna Divadlo na Provarku (Teatr na postrokonku). Czescy artyści przybyli na zaproszenie lubelskich teatrów alternatywnych: „Grupy Chwilowej”, „Sceny 6”, „Provisorium”. Lubelska publiczność obejrzała dwa przedstawienia: „Chamleon”, spektakl, który sam teatr określa mianem „nowej opery” oraz widowisko oparte na tekstach ludowych balcerzy czeskich „Wzruszające czytanie o Don Juanie i o niewinnej małżonce hrabiance Genowefie”.

Lubelska Estrada przygotowała na drugą połowę maja specjalne prezentacje dla dzieci pod hasłem „Bajkowy maj”. Na postacie zaplanowano pokazy programu „Niespodzianek wiele z Pankracym na czele”, w reżyserii Haberta Antoszewskiego. Poza tym zostaną pokazane „Bajki, baśnie, ballady”, czyli rewia muzycz-

na z elementami pantomimy. Przedstawienia „Czarodziejski kuferek” i „Bajki z kufka” oraz estradowo-cyrkowy program „Pchła szachrajka”.

7 kwietnia w Muzeum Okręgowym na Zamku odbył się wieczór muzealny na wystawie Jana Popka (czynny od marca br.). W programie znalazło się m.in. spotkanie z poetą Tadeuszem Kwiatkowskim-Cugowem.

3 maja, w dniu święta Stronnictwa Demokratycznego, z okazji 155 rocznicy Konstytucji z 1791 roku w Filharmonii Lubelskiej odbyła się uroczysta akademia, którą uświetnił koncert lubelskiego Chóru Kameralnego. Przedstawiciele władz i społeczeństwa złożyli wiązki i kwiaty pod pomnikiem Konstytucji 3 Maja na placu Litewskim. Tegoroczne obchody przebiegały pod hasłem: „Jedność utrzymuje i u-mocni Rzeczypospolitą”.

W Domu Kultury LSM, przy ulicy Wallenroda, który stale skupia młodzież i dzieci, proponując interesujące imprezy, o wartościach artystycznych i dydaktycznych jednocześnie, zaplanowano na maj br. przegląd domowych teatrzyków lalkowych.

Teatr Rzeczypospolitej, kierowany przez Marka Okopńskiego, nieustannie prowadzi swoje wędrowki z przedstawieniami po obszarze całej Polski. Ostatnio gościł w Chelmie (WDK) i w Puławach (Dom Chemika) gdzie pokazano „Balladę” Słowackiego w wykonaniu Teatru im. Horzycy w Teruniu.

Osrodek Polskiego Komitetu Współpracy z Alliance Francaise przy UMCS oraz Lubelski Dom Kultury zorganizowały na początku maja Tydzień Kultury Francuskiej w Lublinie. Celem tej imprezy było zaprezentowanie możliwości wszechstronnego obrazu Francji: francuskiego filmu, teatru, prasy, piosenki, osiągnięć w dziedzinie socjologii, fizyki. Do Lublina przybył z tej okazji Philippe Greffet — sekretarz generalny Alliance Francaise w Paryżu, Jean Luise Pascal — stały delegat Alliance Francaise w Polsce. Gości w imieniu władz miasta przyjął wiceprezydent Lublina Feliks Dobrzyński.

W Auli Akademii Rolniczej w Lublinie pod hasłem „Rozwój kultury ludowej warunkiem zachowania tożsamości wsi i ZAW” zainaugurowano 11 bm. ogólnopolskie obchody Tygodnia Kultury Ludowej.

Zasianawiano się nad perspektywą rozwoju i złożonością zachodzących w kulturze wsi przemian i przewartościowań, wskazywano na potrzebę stałego upowszechniania wartości kultury ludowej w środowisku wyższych uczelni. Podkreślono doświadczenia działającego z inspiracji władz lubelskiej Akademii Rolniczej Centrum Kultury i Folkloru Wsi oraz Studium Folklorystycznego.

Przykładem wielokierunkowego oddziaływania wszelkich form upowszechniania regionalnych tradycji ludowych, treści patriotycznych, wychowawczo-społecznych, pobudzania inwencji artystycznej i twórczej, atrakcyjnej działalności społecznej jest Zespół Pieśni i Tańca Ludowego Akademii Rolniczej, którego datująca się od 1940 roku,

ambitna praca i starania owocują uznaniem na krajowych i zagranicznych estradach folkloru.

Muzeum Regionalne PTTK w Puławach wystawą gobelinów Lubemury Skulskiej, lubelskiej plastyczki, otworzyło tegoroczny sezon wystawienniczy w słynnej świątyni Sybilii — pierwszym w Polsce muzeum wzniesionym w latach 1735—1801 staraniem ks. Izabelli Czartoryskiej.

W Janowcu zaś nad Wisłą tajemnicy zamkowych murów uchylały dokumenty i bogata ikonografia w przygotowanej przez Oddział Muzeum Kazimierza Dolnego wystawie pt. „Zamek w Janowcu — budowa, rozbudowa, konserwacja”, która oglądać można w jednym z obiektów Janowieckiego skansenu.

Dzielnym staropolskiego wędociągu w Lublinie, jego technologii, dokumentacji, zachowanym fragmentem obiektów i urządzeń, jak również współczesnym problemem zaopatrzenia w wodę Lubelskiego Zespołu Miejskiego, poświęcona będzie 14 czerwca br. sesja naukowo-techniczna.

(w-dey)

## SPROSTOWANIE

Fragment czwartego skąpitu trzeciej szpalty w felietonie LJK nr 9/80 powinien brzmieć: „Sytuacja sztuki lat 70-tych była anormalna”. Autora i Czytelników przepraszamy.

## Pomyślnych obrad!

**W** SRODĘ, 21 maja, obradować będzie w Lublinie Wojewódzka Konferencja Przedzjazdowa PZPR, która dokona wyboru 34 delegatów na X Zjazd partii. Upřednio pięciu delegatów wybrano na zakładowych konferencjach przedzjazdowych.

Przed X Zjazdem ogłoszono projekt nowego Programu PZPR oraz Tezy Zjazdowe. Niemal we wszystkich podstawowych ogniwach partii odbyły się dyskusje poświęcone projektowi Programu, a blisko połowa organizacji partyjnych przeprowadziła na ten temat nawet po dwa zebrania. Frekwencja wahała się od 75 do 95 proc. Wiele zebrania miało charakter otwarty, uczestniczyli w nich również bezpartyjni. Bywało, że w małych i średnich organizacjach zabierali głos wszyscy, którzy na te zabrania przybyli.

Zarówno w wypowiedziach jak i podjętych uchwałach dotyczących projektu Programu dominuje generalne poparcie dla idei opracowania i przyjęcia przez partię perspektywicznego, kompleksowego dokumentu programowego oraz akceptacja głównych treści przedstawionego projektu. To generalne poparcie nie oznacza, iż poszczególne

fragmenty projektu Programu nie spotkały się z uwagami krytycznymi.

Padal na przykład zarzut, iż nie dość wyraźnie dokonano zbierarchizowania celów i zadań objętych programem. Z przebiegu dyskusji wprawdzie nie wylania się wyraźna lista tych celów, nie mniej do najczęściej poruszanych problemów należą: przyspieszenie pokonywania trudności gospodarczych i wejście na drogę zrównoważonego rozwoju, rozwiązanie problemu mieszkaniowego, poprawa zaopatrzenia rynku i ograniczenie inflacji, walka o pełne urzeczywistnienie socjalistycznej zasady sprawiedliwości społecznej, konieczność skuteczniejszego przeciwdziałania różnego rodzaju postaciom patologii, życia na cudzy koszt, intensyfikacja pracy ideowo-wychowawczej, zwłaszcza wśród młodzieży, umocnienie siły partii, troska o to, by skupiała ona ludzi aktywnych, ideowych, wrażliwych moralnie, czujących się społecznym autorytetem.

Dyskusja starała się odpowiedzieć, na pytanie: jak kreślić wizję rozwoju Polski, aby odpowiadała ona potrzebom i aspiracjom społecznym, skali rozwoju współczesnego świata, a jednocześnie była realna, uwzględniała rzeczywiste możliwości kraju, złożone uwarunkowania, w których przebiegać będzie realizacja programu. Przeważała opinia, że nakreślone w programie zadania są wprawdzie trudne, ale możliwe do wykonania pod pewnymi warunkami. Zaliczyć do nich należy: powszechną

zmianę stosunku do pracy, zasadniczą poprawę systemu funkcjonowania gospodarki, systemu wynagradzania, właściwą politykę kadrową, osiągnięcie przełomu w dziedzinie postępu naukowo-technicznego.

(W tym miejscu warto zwrócić specjalną uwagę na odbytą niedawno w Lublinie Wojewódzka Partijna Narada Twórców Nauki i Postępu Technicznego, na której bez osłonek mówiono nie tylko i wzbudzającej pauperyzacji środowiska naukowego, braku zachęty do wydajnej pracy, zwałowienie sprawozdań i inwazji biurokracji, ale i o konkretnych pracach mających na celu unowocześnienie produkcji, doskonalenie kadr kierowniczych, o dostosowaniu strategii ekonomicznego rozwoju makroregionu do jego specyficznych warunków naturalnych i już ukształtowanej struktury społeczno-gospodarczej i przestrzennej.)

Wielu dyskutantów miało krytyczne uwagi pod adresem samej formy projektu Programu. Wskazywano m. in. na zachwianie proporcji między warstwą opisowo-edukacyjną a zadaniową. Domagano się, by ta forma była bardziej zwięzła, czytelna, by wyeliminowano mało konkretne zwroty i powtórzenia.

Z miesznanymi uczuciami przyjmowano w środowisku twórczym sformułowania dotyczące polityki kulturalnej. W społeczeństwie następuje zubożenie języka, a zbyt duże otwarcie na różnorodność światopoglądową prowadzi do izolacji programu partii. Niekiedy odnosi się wrażenie jakby w naszym kraju było co najmniej kilka polityk kulturalnych.

Jak z tego widać, dyskusja miała szeroki zasięg. Dopomoże ona w lepszym sprecyzowaniu projektu Programu, którego ostateczny kształt zaaprobuje sam X Zjazd PZPR.

Tymczasem przed nami Wojewódzka Konferencja Przedzjazdowa PZPR w Lublinie. Życzymy delegatom pomyślnych obrad!

## Co nowego?

# Rozmowa z dyrektorem OPRF w Lublinie

## Franciszkiem Baraniukiem



Fot. Robert Lipski

— Co nowego w repertuarze filmowym, panie dyrektorze? Choć może powinienem raczej z sarkazmem zapytać: co „starego”? — Jako że na naszych ekranach mnóstwo wznowień filmów atrakcyjnych, ale już do brzo „wygranych”, którymi usługuje się także zapotrzebowanie publiczności na dobre, współczesne światowe kino. Rozumiem, że nie od pana zależy sprawowanie do kraju światowych nowości, ale...

— No cóż, prawda jest taka, że co miesiąc wprowadzamy na ekrany naszego regionu około 12 nowych tytułów, w tym 2-3 filmy polskie oraz 6-7 z krajów socjalistycznych, natomiast tylko jeden albo dwa filmy reprezentujące kinematografię zachodnią.

— Czyli owe „lokomotywy”, które mają wpłynąć na masową frekwencję, a co za tym idzie — dać odpowiednią kasę...

— W warszawskiej centrali naszego przedsiębiorstwa przyjęto zasadę, aby w każdym miesiącu wprowadzać do repertuaru kin tzw. frekwencyjny film — polski lub zagraniczny.

— Tylko, panie dyrektorze, z tą „frekwencyjnością” polskich filmów bywa bardzo różnie!

— Muszę przyznać, że poza bardzo dobrze przyjętymi przez publiczność „Podróżami pana Kleksa”, nie było w tym sezonie, niestety, polskiego filmu, na który chodzono by masowo. W poniedziałek wprowadzamy na ekrany bardzo interesujący film „Kochankowie mojej mamy” Radosława Piwońskiego z Krystyną Jandą, Hanną Skarżanką i Bohdanem Smoleniem, 26 maja odbędzie się premiera obrazu „Lubię nietoperze” w reżyserii Krzysztofa Warchoła (jest to baśń dla dorosłych, z gatunku „niesamowitych”). Lecz trudno dzisiaj jeszcze mówić na temat zainteresowania nimi ze strony publiczności.

— Ale co zobaczymy z naprawdę „frekwencyjnych” filmów, tych, na które publiczność „wali” do kin?

— Jugosłowiański „Cud niebawym” Zivko Nikolića...

— No, powiedzmy...

— Ale przede wszystkim prawdziwy „film miesiąca” — „Skorumpowani”

znanego francuskiego reżysera Claude'a Zidi. Doskonała komedia nagrodzona w 1985 r. „Cezarami” za reżyserię i montaż. We Francji „Skorumpowani” cieszyli się ogromnym powodzeniem, uzyskując o 200 tysięcy widzów więcej niż „Indiana Jones” Stevena Spielberga.

— A co z tegorocznymi „Konfrontacjami” w Lublinie? Jakoś cicho się zrobiło na ich temat, gdy tymczasem publiczność warszawska, krakowska i kilku innych miast ma okazję oglądać dobry zestaw filmów, m.in. „Amadeusza” Milosa Formana, „Powrót do przyszłości” Roberta Zemeckisa, „Podróż do Indii” Davida Leana, „Pulkownika Redla” Istvana Szabo, „Harę birmańską” Kona Ichikawy, „Statek plynie” Federica Felliniego... A my?

— Proszę się nie obawiać. „Konfrontacje” w Lublinie odbędą się z całą pewnością. Miały rozpocząć się 29 maja, ale z uwagi na spodziewane olbrzymie zainteresowanie czerwcowym Mundałem w telewizji zupełnie świadomie przenieśliśmy je na „po wakacjach”, czyli przełom września i października. Dodam, że w Lublinie karty na tę imprezę będą tańsze o 20-30 proc. niż w Warszawie, gdzie za kartę płaci się w tym roku 1800 zł.

— W ogóle ceny biletów kinowych poszły ostatnio mocno w górę. Od 1 marca za „pierwsze miejsce” na film „frekwencyjny” trzeba płacić 150 złotych, i tyleż kosztuje miejsce na film powtórkowy w rodzaju na przykład „Klasztor Shaolin”, „Walki o ogień” czy naszej polskiej „Seksmisji”. Nie są drogo?

— Zdecydowałem się od 1 czerwca — na okres wakacji — wprowadzić sezonową obniżkę cen biletów o około 20-30 proc. Uważam, że w ogólnym rozrachunku OPRF to się opłaca. A wracając do repertuaru, to w czerwcu wprowadzimy na ekrany doskonały chiński film karate — „Wu Dang” („Mistrzini karate”). Tym razem, jak sam tytuł wskazuje, pierwszoplanową rolę kreuje kobieta.

Dokończenie na str. 11

# W naszej grupie...

Dokończenie ze str. 1

zacji założeń taktycznych, nietrudno wówczas o zaskoczenie. Klasykiem tego przykładem niech będzie, tak często przez mnie wspominany, mecz z Tunezją, kiedy to niejednokrotnie, po szybkich kontrach, zawodnicy tej reprezentacji wychodzili na czyste pozycje strzeleckie, zostawiając za plecami zawodników polskich trzymających się kurczowo swoich „kwadratów”. Kilku Marokanczyków gra także na co dzień w Europie (Krimau, Souderballa, Merry), Timoumi został okrzyknięty najlepszym zawodnikiem Afryki, co jeszcze bardziej wzmacnia zagrożenie wspomniane powyżej. Mecz więc z Marokiem, w moim odczuciu, będzie daleki od tego, co określamy mianem „piłkarskiego spacerku”. Nasi zawodnicy muszą przystąpić do niego w pełni koncentracji, z ogromną wolą walki i, przede wszystkim, zwycięstwa. Każda zabawa w futbolowych profesorów może okazać się zgubna.

Drugim w kolejności przeciwnikiem, z którym zetknął nas los, będzie Portugalia; drużyna z gatunku tych, które, mam wrażenie, wyraźnie Polakom „nie leżą”. W ogólnym bilansie międzynarodowych potyczek znacznie lepiej grało się (zarówno naszej reprezentacji jak i klubom) z drużynami preferującymi północny styl gry: agresywność, przewagę taktyki nad techniką, solidne piłkarskie rzemiosło. Drużyny południowe, nastawione na wysokie umiejętności techniczne poszczególnych graczy, fantazję i przypadkowość, element taktycznego bezładu, sprawiły naszym piłkarzom znacznie więcej kłopotów. I tu były, rzecz jasna, wyjątki, generalnie jednak rzeczywistość tak właśnie zdaje się wyglądać.

Reprezentacja Portugalii nie zapisała ostatnio na swoim koncie wielu znaczących sukcesów. Dawno minęły już czasy, kiedy finezją swej gry porwał kibiców na całym świecie czarnoskóry Eusebio. Półfinał Mistrzostw Europy, a także sukcesy klubów (Benfica i FC Porto) w europejskich pucharach, mają jednak swoją wymowę. Stawiają one piłkarzy Portugalii w rzędzie liczących się jedenastek naszego kontynentu, zawsze groźnych i niewygodnych dla potentatów.

Los zetknął już raz obie jedenastki w zmaganiach o Mistrzostwo Świata. Były to rozgrywki eliminacyjne przed Mundałem 78. Dość szczęśliwe zwycięstwo w Porto i z trudem wywalczony remis w Chorzwie premiowały wtedy awansem drużyny polskiej. Obie te mecze wykazały jednak, że drużyna Portugalii nie jest wygodnym dla nas przeciwnikiem. Gra ona szybko i pomysłowo, ma dobrze zorganizowaną linię obrony, z jej filarem, bramkarzem Bento, szybkich napastników — Gomeza i Fernandes, oraz włączających się chętnie do akcji zaczepnych obrońców — Rosę i Venanzio. Futbol portugalski jest żywiłowy, dynamiczny, przebojowy. Aby zniwelować te atuty, drużyna polska będzie musiała rozegrać naprawdę dobry mecz, w którym najwięcej zależeć będzie od linii pomocy. Ewentualne opanowanie środka boiska może stać się receptą na zwycięstwo. W takim meczu musi także obowiązywać zasada krótkiego krycia, aby nie dać się Portugalczykom rozegrać. Z rozpoznaniem przeciwnika nie powinno być przecieży kłopotu, już choćby z uwagi na grę Miyanogory w FC Porto. Sądząc, że tea

mecz będzie bardzo widowiskowy i interesujący, ale z pewnością niejednokrotnie przydadzą się mocno zaciśnięte kciuki.

I wreszcie Anglia, najbardziej znany z naszych grupowych rywali. Zapytany przez wysłannika „World Soccer” Zbigniew Boniek, jak klasyfikuje reprezentację Anglii, odpowiedział, że w ogóle jej nie klasyfikuje. Zdumionemu dziennikarzowi wyjaśnił, iż reprezentacja tego kraju od lat nie osiągnęła znaczących sukcesów, zamknęła się we własnej hermetycznej rzeczywistości, którą rządzią specyficzne reguły, wciąż oddalające wyspiarską piłkę od aktualnych „dokonań światowego futbolu, wreszcie stwierdził, iż trenerzy reprezentacji nigdy nie dysponują dostatecznie długim okresem przygotowań, aby z grupy indywidualistów móc utworzyć drużynę. Piłkarzom brytyjskim zależy przede wszystkim na występach w lidze; powinności reprezentanta, w sumie mniej dochodowe, traktują często jako zło konieczne. To wszystko, zdaniem naszego piłkarza, decyduje o nierównej pozycji piłkarzy Albionu w światowym rankingu.

Oczywiście, zarówno Boniek, jak i opiekunowie reprezentacji, czy pozostali zawodnicy naszej jedenastki, dalecy są od lekceważenia tak utytułowanego rywala; sądzą jednak, że Anglia jest „do ogrania”. Pamięć o słynnym meczu na Wembley odgrywa także nie małą rolę w tym nastawieniu. Nie tylko zresztą Wembley, również liczne sukcesy Górnik Zabrze czy Widzewa Łódź w pojedynkach z czołowymi klubami angielskimi nastrajają w miarę optymistycznie. Nie może to jednakże stać się powodem dekoncentracji, czy jakiegokolwiek próby rozkojarzenia. Czeka nas twardy, wyczerpujący mecz z rywalem atletycznym, doskonale przygotowanym kondycyjnie, świetnie wyszkolonym technicznie. Walory, a także mankamenty (z tych największy to: schematyczność wysokich dośrodkowań na pole karne) piłkarzy angielskich są dobrze znane naszym kibicom. Zawsze budzi jednak szacunek równa wysoka forma, poniżej której poszczególne reprezentanci nigdy nie schodzą. Wszystko to decyduje, iż będzie to dla nas najtrudniejszy mecz w grupie.

Dodatkowym niebezpieczeństwem groźnym nam ze strony Anglików jest fakt, iż ten zespół od lat (praktycznie od czasów Keegana) grający bez gwiazd, ma znowu swoje wielkie nazwisko — piłkarza zdolnego pokierować gra drużyny, stać się jej motorem napędowym To Bryan Robson, pechowy, napalony ustawicznymi kontuzjami, znakomity pomocnik Manchester United. Boniek wyrażał się o nim z najwyższym uznaniem. Shilton w bramce, Vanson w obronie, Francis, Lineker i Waddle w ataku nie wymagają także rekomendacji. Podobnie jak przed laty, znowu mecz obu tych drużyn będzie prawdopodobnie meczem o wszystko. Oby zakończył się równie pomyślnie dla Polski!

Ostrząc więc sobie apetyty na krąki ze szlachetnych kruszców, nie zawadzaj najpierw zastanowić się przez moment nad pierwszymi pojedynkami biało-czerwonych; odrzucić nieuzasadnioną euforię i przeczuć gładkich sukcesów. Mistrzostwa świata nie są bowiem łatwych meczów. A właśnie od tych pierwszych zależeć będzie tak wiele.

Wiesław Horabik

# Artykuł dyskusyjny

TRZY lata temu zamieściła mi „Kamena” artykuł pt. „Gorzko o oświacie”, w którym postawiłem tezę, że od początku lat pięćdziesiątych w oświacie polskiej istnieje stan permanentnej sytuacji konfliktogennej. Tezę tę uzasadniłem różnymi dolegliwościami, jakie dosięgły bądź dosięgają stan nauczycielski (m.in. szczupłość bazy oświatowej, powtarzające się braki programów nauczania, podręczników, środków dydaktycznych, niefortunne decyzje reformatorskie w szkolnictwie, wreszcie niskie w stosunku do innych grup społecznych uposażenie zasadnicze nauczycieli).

W refleksji końcowej napisałem, że nie uda się tak naprawdę w oświacie nic, jeżeli na różnych szczeblach władzy nie zostanie przyswojony mądry aforyzm Brechta mówiący, iż „należy odzwyczaić się od myślenia o problemach, których myśleniem nie można rozwiązać”.

Nieco wcześniej prezes Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego, Kazimierz Piłat, powiedział aktywistom związkowym i przedstawicielom resortu oświaty i wychowania co następuje: „...uwazamy, że rozwiązanie podstawowych problemów oświatowych i nauczycielskich jest pilne i konieczne. Jest to kwestia umacniania podstaw funkcjonowania polskiej oświaty. [...] Dla naszego Związku jest to również kwestia wiarygodności jego działania i zaufania członków. [...] Z uwagi na społeczne i polityczne znaczenie oświaty i wychowania w życiu narodu, oczekujemy wyprzedzających działań, zmierzających do pełnej realizacji od lat nabrzmiałych, a obecnie narastających problemów pracowniczych i zawodowych”.

Odpowiadając na stanowisko ZNP, ówczesny wicepremier M. Rakowski krytycznie ocenił politykę rządu w stosunku do oświaty, po czym dodał, iż władza stara się jednak inaczej spojrzeć na zawód nauczycielski. „Na pewno nie wystarczy tylko słowa, nie wystarczy deklaracje, bo to niewiele znaczy, natomiast trzeba — i to jest mój punkt widzenia i moje przekonanie — podejść do tych spraw rozsądnie, opracować realistyczny program rozbudowy pozycji nauczyciela w Polsce, jego pozycji moralnej i społecznej. Ale to nie wszystko — powiedział dalej. — Do tego dodać trzeba sprawy materialne. Wasze środowisko powinno odegrać w tym bardzo istotną rolę”.

Mocne słowa, dostosowane przecież jednak do huśtawki nastrojów wśród nauczycielstwa roku pamiętnego 1981.

Przypomniałem te wszystkie wypowiedzi i tezy nie bez powodu. Różne bowiem resortowe i międzyresortowe decyzje, podejmowane w ostatnich latach na rzecz oświaty lub w związku z oświatą, okazywały się, sędzę, że zbyt często, jedynie półśrodkami blokującymi — by użyć medycznej terminologii — bolesność schorowanych miejsc, nie likwidującymi natomiast przyczyn dolegliwości nauczycielskiego stanu.

Klasyycznym przykładem egzemplifikacji powyższej tezy są nieustanne starania ZNP o wyegzekwowanie pełnej realizacji art. 31 Karty Nauczyciela. Artykuł ten stanowi mianowicie, że od

# Kto nie lubi nauczycieli?

1 września 1983 r. średnie wynagrodzenie nauczycieli nie może być niższe od średniego wynagrodzenia pracowników inżynieryjno-technicznych zatrudnionych w przemyśle uspołecznionym. Zarząd Główny ZNP, mając świadomość trudności gospodarczych, odstąpił nawet od roszczeń, aby do owej średniej wliczono także płace w przemyśle wydobywczym, przez co wykazał, iż nie brak mu i dobrej woli, i realizmu.

Atoli mierne wyniki związkowych starań, będące same w sobie dla działaczy ZNP istotnym czynnikiem stresotwórczym, to nie tylko skutek wadliwych działań na rzecz oświaty, podejmowanych przez poprzednie kolektywy centralnej administracji lub opieszałości takich kolektywów. To również e-

żółtą zbyt pojedynczej, by nie powiedzieć: uległej, postawy wielu aktywistów Związku Nauczycielstwa Polskiego przed rokiem 1981. Mówiło się kasymy nawet: gdyby nie początek i koniec roku szkolnego, ktoś by o nauczycielach pamiętał...

Przyzwyczajeni do uległości i niezdecydowania, a nawet układnego milczenia związkowców, kolejni władarze resortu oświaty i wychowania (nie tylko zresztą oni) wszczepili do polityki oświatowej, następnie zaś w niej utrwalili, skłonność do świadomego niezauważania (ignorowania więc) potrzeb szkolnictwa w ogóle, a stanu nauczycielskiego w szczególności. W ślad za tą skłonnością postępowały procesy remontujące w znacznej części nasze szkolnictwo: feminizacja zawodu i tzw.

wytworzył określone mechanizmy decyzyjne, w tym także placowe. Jeden z zasadniczych mechanizmów placowych określiłbym jako „kompromis wyrachowany”, polegający na solidnym wynagradzaniu przede wszystkim tych, którzy w przypadku niezadowolonych mogliby poważnie się na otwarty konflikt z państwową administracją.

Patrząc wstecz, można skonstatować, iż wielkość uposażeń w różnych działach produkcyjnych zaczęła już dość dawno odstawać od wartości samej pracy i rzetelności jej wykonania. Przy tym zaś utrwały się myślowe stereotypy, że jednak nie u wszystkich byt kształtuje świadomość, że nauczyciele, powołani przede wszystkim do pełnienia służebnej funkcji wobec społeczeństwa, mają jakoby mniejsze pra-

Marian Janusz Kawalko

negatywna selekcja naboru nowych kadr. Dziś sytuacja jest wręcz taka, że — tu posłużę się opinią Anny Borszyskiej, nauczycielki jednej ze szkół zawodowych Lublina — „w oświacie pracę znajdzie każdy, komu chce się jeszcze nosić dziennik pod pachą”. Czyż może być bardziej lapidarna ocena szkolnej miserii kadrowej?

Pytają często szeregowi nauczyciele, komu zależy na deprecjonowaniu ich zawodu? Odpowiadam, że to nie jednostkowa z reguły odpowiedzialność tych czy innych osób sterujących oświatą decyduje o niewesołym stanie rzeczy, lecz określony, wypracowany przez lata, sposób myślenia o oświacie. Ów sposób myślenia, zasadzający się, najogólniej mówiąc, na twierdzeniu, iż „oświata poczeka”, współ-

wo, by zaglądać do państwowego „garnuszka”. Miał więc generalnie porządkować sprawy oświatowe, komplementowano pedagogów kropiłowymi podwyżkami uposażeń, a także limitowanymi odznaczeniami i nagrodami.

Kiedy zatem Sejm PRL uchwałił Kartę Nauczyciela, zresztą zgodnie z zasadniczymi postulatami ZNP, u wielu pracowników szkolnictwa odżyła wiara w wartość społeczną własnego zawodu. Rychło jednak zaczęły działać coraz sprawniej dotychczasowe mechanizmy planistyczno-decyzyjne, by wspomnieć tylko próby „podgryzania” Karty już to przez usiłowanie nowelizacji tej ustawy, już to przez niepełną realizację tych czy innych jej zapisów. Tak więc zapowiedź odnowy, także w spojrzeniu na zawód nauczycielski, za-

# Biedny Lolo!

Urszula Kołakowska

Biedny Lolo jednak chce znaleźć się w problemie sednie: IKC i ABC czyta w nocy, czyta we dnie. Ale jakże polknie mózg ideał cizbę taką męga, a tu coraz gorzej ma: ani ręką, ani nogą.

K. I. Galezyński

ZAISTE, biedny Lolo, jego bowiem aparat przyswajający i transformujący informacje jest z pewnością rozregulowany. Jednakże smutniejszy wydaje się fakt, iż takich biednych Lolów będą w Lublinie w najbliższym czasie dziesiątki. Na nasuwające się tu pytanie spieszę z odpowiedzią: będą nimi zarówno absolwenci szkół podstawowych, jak i średnich. Absolwenci, gdyż większość z nich właśnie znajdzie się w sytuacji

przymusowej, którą stanowiąc będzie konieczność zdania egzaminu do szkół średnich czy wyższych. Już obecnie zaczęła się szeroka akcja korepetytorska. Młodzież jest sfrustrowana, a rodzice oprócz nerwów tracą dodatkowo pieniądze.

Cheć mi się gromkim głosem krzycać: O temporal! O mores! Gromkim głosem, by usłyszał go stan nauczycielski. W nim bowiem upatruję głównie przyczynę szukania przez młodzież pomocy u korepetytorów. Twierdzenie takie uważam za autorytatywne, gdyż od kilku lat sama występuję w roli korepetytora.

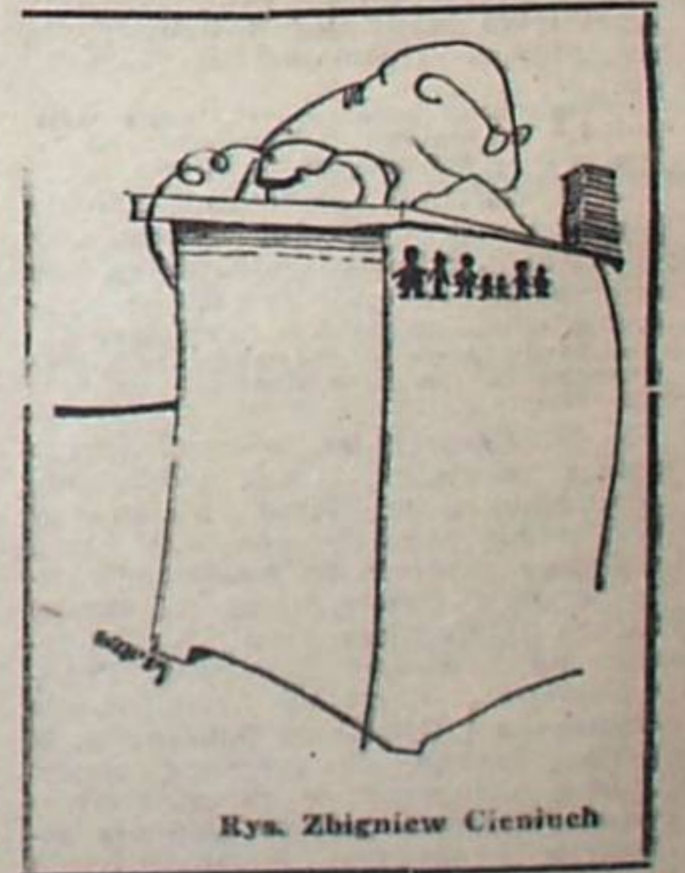
Popatrzmy, jak w szkole uczą np. historii literatury. Czy jest prawidłowe podanie uczniom klasy ósmej fragmentarycznej wiedzy o Kochanowskim lub Mickiewiczu, polegającej na informacji, że pierwszy napisał „Treny”, a drugi „Pana Tadeusza” i krótkiej analizie treści utworów, czy ich fragmentów, bez osadzania twórców w konkretnej epoce historyczno-literac-

kiej? Na pewno nie. Zanim zacniemy podawać uczniowi określone informacje o wąskim zakresie, należy mu pokazać całość. Mówiąc więc o Mickiewiczu, powinno się najpierw w kilku słowach scharakteryzować okres, w jakim pisarz tworzył, i wspomnieć o czynnikach warunkujących jego twórczość. Natomiast omawiając tematykę i problematykę utworu, należy je ujmować na tle problematyki w literaturze narodowej i powszechnej danego okresu itp. Dopiero zobaczenie takiej całości pozwoli na łatwiejsze zrozumienie „Pana Tadeusza” bądź „Trenów”.

Już z góry mogę przypuszczać, jakie argumenty niektórzy mieliby ochotę wysunąć przeciwko mej tezie. Mianowicie, iż to tylko szkoła podstawowa, i okresy literackie zostawia się dla szkoły średniej. No właśnie, jest to szkoła podstawowa, po której ukończeniu uczeń powinien posiadać podstawowe wiadomości. Bo co wówczas, gdy nasz Lolo zakończy edukację na szkole podstawowej? Będzie wtedy wiedział, że jakiś tam Kochanowski napisał „Treny”; być może i o tym zapomni. Ponadto ośmioklasiści to piętnastolatki wie inteligentni i doświadczeni. I częstokroć sami zadawali mi pytanie w rodzaju: co to jest Odrodzenie czy Młoda Polska? Pani nauczycielka bowiem wyraziła się o kimś, gdzieś tam po drodze, że „był poetą Młodej Polski”, ale nie wyjaśniła, co to znaczy Młoda Polska. A nasz Lolo, proszę pani, jest ciekawy i żądny wiedzy.

Dodać więc, proszę pamiętać pani nauczycielko — tak naprawdę to pani nie uczy Lolo. Jak wiadomo, każdy uczy się sam, pani obowiązkiem jest mu w tym tylko pomóc, tzn. może go pani zachęcić albo postawić w sytuacji, która go do nauki zmusza.

Czyż można zachęcić do nauki ucznia, podając mu „suche” formuły grammatyczne? Zna np. Lolo na pamięć definicję zdania głównego, współrzędnego, i podrzędnego, ale nie umie, niestety, w konkretnym tekście wskazać, które jest które. Dlaczego? Dlatego, że pani nauczycielka poprzestała na definicji, a uniknęła ewidencji. I nie tylko: zapomniała także o tym, iż Lolo to



Rys. Zbigniew Cieniuch

homo sapiens, i w związku z tym należałoby język definicji przetransponować na język piętnastolatka. Gdyby tak uczyniła, zniknęłyby problemy z grammatyką. Trzeba stawiać pytanie — czy uczeń rozumie, a nie czy umie?

Czuje się jednak zobowiązana wyjaśnić, iż zamiarem moim nie jest totalna negacja wartości kształcących szkół

# Prowincja czy renesans?

## Rozmowa z prof. Feliksem Rączkowskim

częła się od prób jej wyhamowania. Tym samym odrodzony Związek Nauczycielstwa Polskiego uwikłany został już na początku swej działalności w różne jednostkowe utarczki o status prawny i społeczny pracowników oświaty. Dziś tych uwikłań jest wprawdzie mniej, ale nie udało się jeszcze związkowcom wynegocjować plac zgodnych z ustawą sejmową.

Ministerstwo Oświaty i Wychowania wystąpiło natomiast z inną propozycją: wprowadzeniem motywacyjnego systemu uposażeń. Miałyby on z grubsza polegać na różnicowaniu plac indywidualnych zależnie od uzyskiwanych z miesiąca na miesiąc efektów wydajnościowo-wychowawczych. Rachmistrzem, który liczyłby sukcesy i porażki poszczególnych nauczycieli oraz wyroczenia placową w jednej osobie, byłby dyrektor szkoły. Nauczyciele generalnie zgadzają się z tą koncepcją, jednakże pod warunkiem, iż uprzednio artykuł 31 Karty Nauczyciela doczeka się pełnej realizacji. Krótko mówiąc: tym razem związkowcy chcą być mądrzy przed szkodą. Tymczasem zaś trwają uciążliwe resortowo-związkowe i międzyresortowe negocjacje, z których przebiega się obraz dość mglisty. Rzecz w tym, iż także tegoroczny budżet państwa nie stwarza większych szans, aby 1 września pedagodzy otrzymali pobory zgodne z ich pragmatyką. Związkowcy w ostateczności pozostaje możliwość skierowania całej sprawy do Trybunału Konstytucyjnego.

Aczkołwiek wrodzony optymizm wielu naszych pedagogów został ostatnimi czasy bardzo utemperowany, wierzą oni, iż sprawy ekonomiczne w oświacie nabiorą niedługo (bo ileż można czekać?) znaczenia priorytetowego. Choćby dlatego, że jest to zgodne z ideą socjalizmu.

Ku pogłębionej refleksji tych, którzy polskiej oświacie mogą pomóc, dedykuję na koniec słowa wielkiego działacza ZNP, Zygmunta Nowickiego, wypowiedziane u progu odrodzenia państwowości polskiej, jesienią 1917 roku: „Stan nauczycielski chcemy podnieść na wyższy szczebel hierarchii społecznej nie tylko przez podniesienie poziomu kwalifikacji, lecz i przez podniesienie jego stopy życiowej, jego uposażenia materialnego i zabezpieczenia starości. Wierzmy, że społeczeństwo nad powyższym postulatem naszym nie przejdzie do porządku dziennego, że prędzej czy później zrozumie jego znaczenie i pracę nauczycieli należycie oceni i wynagrodzi. Wynagrodzenie to przyjdzie nie w charakterze łaski lub ustępstw, lecz jako sprawiedliwa zapłata, poniesiona w interesie samego społeczeństwa”.

Pytanie zawarte w tytule artykułu uważam za otwarte.

— Nie tak dawno, w niedzielę, 6 kwietnia, po mszy w radiu usłyszałem siebie grającego na organach oliwskich. A potem redaktor zapowiedział jeszcze dwa moje recitale, w ciągu najbliższych dwóch tygodni, z okazji 80-lecia urodzin i 50-lecia pracy artystycznej.

— To było panu profesorowi przyjemnie? — Tak, tylko, na szczęście, napisałem wcześniej do Gdańska z prośbą, czy nie mogliby 13 kwietnia nadać moich nagrań ze względu na jubileusz. Prosiłem o jeden recital.

— Mielmy nadzieję, że będzie ich więcej niż trzy, bo przecież pana działalność to cała historia polskich organów. Ale zanim o tym będziemy rozmawiać, chciałabym „odwiedzić” Szczaworyż, gdzie się pan urodził. Czy tam są jakieś zabytkowe organy?

— Tam były organy. W pięknym piętnastowiecznym kościele. Miały dwanaście głosów bez pedału i niepowtarzalny dźwięk. Zupenie uległy zniszczeniu ze starości.

— Czy pamięta pan swoje pierwsze kontakty z instrumentem?

— Bardzo dobrze, bo miałem wtedy kilkanaście lat. Ojciec raz powiedział: „Felka będziemy uczyli na organiste”. A ja się tego uczyłem. Następnego dnia zaprowadził mnie na naukę do Stanisława Pachlewskiego, na dwa lata.

— Dalsza edukacja odbywała się w Przemyslu, a potem w Warszawie. Droga była długa i okrutna, bo przecież Szczaworyż leży niedaleko Buska Zdroju.

— Wszystko było kwestią przypadku. Na przykład o Salezjańskiej Szkole Organistowskiej dowiedziałem się z „Wiadomości Salezjańskich”, pisma, które założył Jan Bosco 110 lat temu. Wychodzi ono do dziś. Zaraz dam pani do obejrzenia. A czy pani wie coś o Salezjanach?

— Niewiele.

— No więc przywędrowali do Polski z końcem XIX wieku. Założycielem zgromadzenia był wspomniany już Bosco, a opiekował się on biedną młodzieżą w Piemencie. W Polsce pierwszą szkołę założyli w Oświęcimiu, a potem organistowską w Przemyslu (w 1916 roku), dokąd jechało się najpierw furmanką (do Szczucina nad Wisłą), a potem już koleją.

— Czy księża Salezjanie byli dobrymi organistami?

— Przede wszystkim kształcili się w znakomitych uczelniach muzycznych. Ks. Antoni Chłondowski w Rzymie i w Ratybonie, ks. Augustyn Piechura w Wiedniu, ks. Antoni Śródka w Regensburgu. Wszyscy oni byli moimi nauczycielami przez cztery lata. Kiedyś przyjechał do Przemysła słynny Bronisław Rutkowski, żeby dać koncert z okazji 25-lecia szkoły. Usłyszał mnie grającego i namówił na zdawanie egzaminu do konserwatorium warszawskiego, które skończyłem w ciągu trzech lat.

— I jesteście w 1935 roku. Nie był to chyba okres dla muzyki organowej najwznieślijszy?

— Jeśli porównamy tamte czasy z obecnymi, to w tej chwili sprawa z muzyką organową ma się znacznie lepiej. Nigdy nie było tylu festiwali, nigdy polscy organisci nie wyjeżdżali tak często za granicę. Ja odbyłem pierwszą podróż do Wenecji dopiero w 1957 roku. Trzeba podkreślić, że klasy organów, znajdujące się we wszystkich wyższych szkołach muzycznych, są przepelnione do ostatniego miejsca. Zresztą renesans muzyki organowej obserwujemy na całym świecie.

— Czy zastanawiał się pan nad przyczyną?

— Wydaje mi się, że ludzie tęsknią za czymś, co przeminęło. Za pięknem zawartym nie tylko w muzyce, której się słucha, ale także w nastroju, stworzonym przez otoczenie. A ponieważ zaczęto dbać wreszcie o zabytki, doceniono brzmienie znajdujących się w nich starych instrumentów.

— Czego przykład mamy na własnym podwórku. Myślę oczywiście o Lubelszczyźnie, gdyż był pan, zdaje się, zamieszany w „odkrycie” organów w kamieńskim faryzie?

— Tak mówią, a to dlatego, że w latach pięćdziesiątych przyjechał do mnie kierownik PTTK z Kazimierza i zażyczył sobie koncertu podczas zjazdu społecznych opiekunów zabytków. Przygotowałem na tę okoliczność monumentalne, efektowne dzieło; nie wiedziałem, że organy kamieńskie mają krótką klawiaturę i można je jedynie wykonywać na nich skromne utwory renesansowe, no może najwyżej jakieś choralki Bacha. System bu-

dowy w roku 1620 był taki, jaka była wtedy muzyka. Musiałem więc gwałtownie zmienić repertuar. Ale wówczas dotarło do ludzi, że mają do czynienia z jednym z najstarszych instrumentów w Polsce i zaczęto się nim interesować. Były dość zniszczone, szczególnie drewniane belki podtrzymujące chór i klawiatura, w której powstały dziury od palców. Na początku zamierzano te organy przebudować, wyrzucając całe wnętrze. Na szczęście do tego nie doszło i pracownia z Krakowa podjęła się prac rekonstrukcyjnych. Trwało to sześć lat, doprowadziło do zebrania piętnastu tomów dokumentacji i kosztowało siedem mln zł.

— Słuchając koncertu w farze kamieńskiej, zwróciłam uwagę, że coś okropnie stukta, przeszkadza w słuchaniu...

— To są organy mechaniczne. Przez uderzenie w klawisz zostaje pociągnięta listewka otwierająca dostęp po-



włotrza do piszczałek. Dlatego jest taki stuk. Poza tym instrument ma z tyłu klucze i trzeba się dobrze zaprzeć, żeby je wyciągnąć. Trudno na tych organach zagrać cały koncert, choć muszę powiedzieć, że nagrałem dużą płytę dokumentalną, jeszcze przed ich rekonstrukcją.

— Powiedział pan, że są to jedne z najstarszych organów w Polsce. Czy istnieją gdzieś jeszcze starsze?

— Tak, w Olkuszu, z 1615 roku, ale bardzo zniszczone.

— Które organy w Polsce najlepiej brzmią? Czy oliwskie?

— Sądzę, że te, które znajdują się w Leżajsku.

— Słyszałam, że tam jednak z rzadko odbywają się koncerty.

— Nie ma zrozumienia dla sprawy. Księżom nie zależy, by mieć dobrych organistów. Gra, kto chce i jak chce, na ogół лихо. We Francji, na przykład, każdy wybitny muzyk grający na organach jest przypisany do kościoła. Weźmy chociażby sławnego Olivier Messiaena. Jako 22-letni młodzieniec objął funkcję organisty w jednym z największych kościołów w centrum Paryża i pełni ją do dziś. Od prawie pół wieku obowiązkowi Messiaena, „tytułarnego” organisty St. Trinité, są takie same: w każdą niedzielę trzy kolejne msze i nieszpory, w ciągu tygodnia ponadto śluby i pogrzeby. O godz. 10 gra chór gregoriański, o 11 wykonuje dzieła klasyków, o 12 wolno mu grać własne utwory, a po południu improwizuje. Miałem zaszczyt poznać go osobiście w 1959 roku, kiedy znalazłem się po raz pierwszy w Paryżu. Była 35 rocznica śmierci Gabriela Fauré’ego i dwudziesta Charlesa Tournemire’a, dwóch znakomitych kompozytorów, organistów i improwizatorów francuskich. Grał ich utwory.

— I tu chyba odkrywamy jeszcze jedną przyczynę popularności muzyki organowej. Zjemy w dobre, kiedy pojawili się kompozytorzy mający coś do powiedzenia. Niektórzy wręcz twierdzą, że „przed Messiaenem organy należały do instrumentów najbardziej zaniedbanych pod względem poszukiwania nietradycyjnych sposobów ich wykorzystania, że stanowiły coś w rodzaju prowincji muzycznej, odosobnionej i pokrytej kurcem”. To cytat z komentarza do dwóch kaset płytowych obejmujących całą twórczość organową Messiaena.

— Repertuar organowy opiera się na wielkich dziełach okresu renesansu i baroku, na niewielkiej liczbie utworów romantycznych. Ale też coraz częściej zdarza się spotykać wartościowe dzieła współczesne.

— Kto, według pana, był lub jest największym organistą na świecie?

— Pierre Cocheron, którego mógłbym nazwać „królem improwizatorów”. Poznałem go także w 1959 roku. Mieszkał w Nicei i w każdą niedzielę przylatywał samolotem do Paryża, by grać w katedrze Notre Dame na najpiękniejszych organach, jakie znam. Dzięki niemu grałem na nich również. Zbudowane ponad sto lat temu przez słynną firmę Cavallé-Coll, zostały w 1963 roku powiększone do 125 głosów i zelektryfikowane. A Pierre Cocheron zmarł, niestety, trzy lata temu. Położył także duże zasługi jako inicjator festiwalu organowych. Najtrudniejszy konkurs na świecie odbywa się dzięki niemu w katedrze w Chartres.

— Mówimy o festiwalach. W Polsce pan właśnie był organizatorem większości z nich. W Orlowie, Kamieniu Pomorskim, Koszalinie... Teraz to już tradycja, ale z pewnością na początku było ciężko?

— Wszystkie zależy od ludzi, od ich uporu i wytrwałości. Exempulum tego jest festiwal w Kamieniu Pomorskim. Kilku entuzjastów po prostu uparło się, że muszą mieć festiwal. Teraz nawet kursuje do Kamienia ze Szczecina specjalny pociąg festiwalowy. Przywozi się też ludzi morzem, z Dziwnowa. Kiedyś byłem świadkiem, jak kapitan statku dzwonił do księdza proboszcza, czy koncert się już skończył i czy może odpłynąć. Nie zawsze jednak szło tak gładko. W Koszalinie bardzo długo sprzeciwiał się jeden z panów z władz kulturalnych. Kiedy zagroziłem mu znajomościami w Warszawie, zgodził się na koncert przy drzwiach zamkniętych. Akurat był jakiś zjazd opiekunów zabytków. Potem przyzwyczajono się do myśli o festiwalu i znalazły się nawet duże pieniądze. W tym roku odbędzie się już dwudziesty. Właśnie otrzymałem zaproszenie.

— Wygląda na to, że mamy w Polsce więcej organów niż fortepianów...

— Nie jest ich aż tak dużo, a przynajmniej wielu przydałoby się odświeżać szata.

— Ale wciąż buduje się nowe. Czy są to dobre instrumenty?

— Dwie liczące się w naszym kraju firmy to Zygmunt Kamiński i Włodzimierz Truszczyński. Sporo organów zagranicznych zafundowały sobie szkoły.

— A skąd wzięły się organy w pana mieszkaniu?

— Te, które pani widzi, siedmiogłosowe, zbudowała firma Kamińskiego na zamówienie, dostosowując je do tego pokoju. Natomiast w poprzednim mieszkaniu miałem trochę większe. Ich historia jest ciekawsza. Zaraz po wojnie złożyłem podanie w Ministerstwie, by pozwolono mi przywieźć instrument z ziem odzyskanych. Niestety, Zofia Lissa, będąca wówczas dyrektorem Departamentu Muzyki, załatwiła mnie odmownie. Na szczęście spotkałem później Mirosława Dąbrowskiego, mego szkolnego kolegę, pełniącego równie ważną funkcję w Ministerstwie Kultury. Przez przypadek zobaczył moje podanie i dzięki niemu mogłem przywieźć w 1949 roku jeden wagon części, które złożyłem w podziemiach kościoła Sw. Krzyża. Potem firma Biernackiego zrekonstruowała organy i ustawiła w salonie. Kiedy przenieśliśmy się z żoną do obecnego mieszkania w 1970 roku, dziewięćgłosowe organy okazały się za duże. Kupił je kościół w Puławach. Kiedy zaproszono mnie na otwarcie, grając na nich, bardzo się wzruszyłem. Był to przecież instrument, z którym obcowalem dwadzieścia lat.

— Nie jeden zresztą przyjaciel, bo w kościele Sw. Krzyża w Warszawie grał pan lat dwadzieścia pięć. Czy nie brakuje panu tej atmosfery, nastroju, a przede wszystkim dużego dźwięku?

— W niedzielę chodzę zawsze do kościoła Sw. Antoniego na ul. Senatorską, gdzie są organy mechaniczne i po mszy mam czas na zagranie jakiegoś utworu koncertowego. Poza tym ciągle jestem zajęty. Mam godzinny w konserwatorium, spotykam się z moimi uczniami w domu, trochę komponuję. Jeżdżę na koncerty...

— Wypada mi tylko życzyć ich panu profesorowi bardzo, bardzo dużo.

Rozmawiała: Irena Filus

**kamena 5**

ZATRZYMYWALEM się codziennie za ostatnim z budynków przy szosie. Pierwszy najczęściej przybywał majster. Jeżeli zdarzyło się, że Stary zjawiał się przede mną, wówczas musiałem być przygotowany na wysłuchanie jego gderania. Stary zaperzał się, jego pomarszczona twarz robiła się odrażająca. Najbardziej denerwowało mnie jednak, gdy mówił:

— Ja mogę wstać wcześniej, a tobie zawsze noc krótka. Zebys ty był złoty, to za zięcia bym cię nie chciał!

Majster kończył palić papierosa i wszyscy wsiedliśmy na rowery, by jechać dalej. Nie lubiłem Starego. Dlatego też naciskałem silnie pedały. Majster również przyspieszał. Bawilo mnie, jak Stary, spocony, z zaczerwienioną gębą, mamrotał pod nosem przekleństwami i wołał, byśmy zwolnili.

Po każdym z takich finiszów, już na miejscu, siadał na jednej ze schyłających w słońcu kratownic i przeklinając — do czego nigdy mu nie brakło koncepcji — wyrzekał, zmęczony, na swoją starość. Patrzałem na niego i z każdą chwilą narastało we mnie uczucie litości, zapomniałem o wyrządzonej mi przykrościach. Stary jednak tylko pozornie tracił wigor. Wystarczyło mu powiedzieć:

— Panie Celmer, nie jest jeszcze tak źle, jak pan mówi! — wtedy zerwawszy się, zaczynał krzyknąć:

— A co wy myślicie, że starego tylko do trumny? Zebym ja miał twoje lata — tu pokazywał na mnie palcem — dziwkę w powietrzu mógłbym...

Wzruszałem ramionami i odchodziłem do roboty. Przy baraku prócz nas trzech, wykonujących roboty ciesielskie, pracowało jeszcze czterech murarzy. Zajęcia za wiele nie było. Starali się już o to nasi zaopatrzeniowcy, nie dostarczając zawsze czegoś na czas. Najpierw więc brakowało desek do oszalowania, a gdy je dowieźli, murarzom skończył się cement. Przez kilka dni zbijali więc baki przy drobnych robotach, klnąc tych z biura. Ich majster, „rudy Janek”, jak go nazywali, przychodząc do nas, drapał się po głowie, i nieco sepleniąc, mówił:

— Wam to dobrze, macie swoje dechy i robotę możecie podgotować, a my to nawet na sól do kwaśnego mleka nie zarobimy! — Po czym, patrząc w przestrzeń przed sobą, zamyslał się: — Cholera, gdyby tak jeszcze piwo można było... — dodawał po chwili — Ale gdzie tam tu, na tym pustkowiu?

Rzeczywiście, dwie chaty, położone w dolinie, i kilka zaniedbanych drzewek owocowych tworzyły najbliższy pejzaż. W dali, za polami, ciągnęło się ciemne pasmo lasu. Miasteczko, z którego przyjeżdżaliśmy codziennie, było odległe o siedem kilometrów, najbliższa wioska nieco mniej, ale tam nie było po co jeździć.

Kilka razy w miesiącu grupa miała swoje święto: pierwszy raz wtedy, gdy na budowie zjawiał się kasjer z wypłatą. Zaraz po jego wizycie wysyłaliśmy Siwego do miasteczka po wódkę, a potem pililiśmy do wieczora. Następne większe picie odchodziło po odwiedzinach inżyniera, który przyjeżdżał dwa, trzy razy w miesiącu dla sprawdzenia postępów w pracy.

Mnie przydzielono do nich z innej grupy. Miałem tu pracować jako pomocnik cieśli. Kiedy pierwszy raz przyjechałem na budowę, przeraziło mnie to odludzie. No i Stary. Nigdy nie spotkałem jeszcze takiego człowieka. Był niski, krępy, miał długie ręce o dłoniach jak łopaty oraz pooraną zmarszczkami twarz, która nosiła wyraz wiecznej niezadowolonej. Stary obejrzał mnie ze wszystkich stron, po czym skrzywił się, jakby przed chwilą połknął coś gorzkiego.

— Phi... Nowy robotnik! Młodzik, nie robotnik... A zęby ty piły wyostrzysz?

To ostatnie zdanie było dla mnie szczególnie niezrozumiałe. Nie wiedziałem, co knuje. Dopiero Siwy, który przysłuchiwał się tej rozmowie, wyjaśnił mi, kiedy odeszliśmy do roboty:

— Stary chce, żebyś się wkupił!

Tego dnia dwa razy jeździło do miasteczka. Gdy kończyliśmy ostatnią litrówkę, w głowie mi już dobrze szumiało. Odczuwałem drętwy ucisk w gardle. Nagle Stary, siedząc na drugim końcu zrobionego z desek na rusztowaniu stołu, wstał i chwytając krokiem podszedł do mnie:

— Młodzik... Mło... dzik... — wycedził przez zęby. — Napij się ze mną... Napij się ze Starym... — powtórzył z pijackim uporem. Zdawało mi się, że przysuwa swoją, bardzo podobną do zgnitego owocu, twarz do mojej. Za wszelką cenę chciałem uniknąć jego ohydnych czułości. Chwyciłem za sto-

— Gderać Starego na budowie bał się wszyscy, potrafił podporządkować sobie nawet majstrów. Nie dziwnego, że na kierowane pod moim adresem wyzwiska i kpiny nikt nie reagował. W jego opinii byłem niewydarzonym leniwym chłopakiem, nie znającym się na robocie. Przy tym na każdym kroku mną się wysługiwał. Na początku to denerwowało i buntowało mnie, z czasem jednak zobojętniałem, tak jak i wszyscy. Zrozumiał to chyba i on, bo uspokoił się nieco. Reagował jedynie na moje sporadyczne spóźnienia.

Zbliżała się jesień. Ciągnąca się w nieskończoność budowa baraku dobiegała ku końcowi. Ciężyliśmy się z tego. Jedynie Stary chodził, jak zwykle, chmurny, coraz częściej wyrzekając na swoje niedoleństwo. Czulo się, że tym razem przycisnęło go naprawdę.

Którejś niedzieli, chcąc uciec zbliżający się koniec pracy na odludziu, wybrałem się z murarzami na zabawę w miasteczku.

Siedzieliśmy w rogu sali, było duszno. Towarzystwo zabawiało się kieliszkami. Miejscowi na dźwięk orkiestry zrywali się do obtańcowywania swoich dziewcząt. „Rudy Janek”, już dobrze podchmielony, belkotał coś o budowie, my zaś z Siwym, puszczając mimo uszu jego wywody, rozglądaliśmy się po sali, szukając partnerkę do zabawy.

— Widzisz te dwie tlenione blondynki? — wskazał Siwy. — No, te przy stoliku koło drzwi... — Spojrzałem w ich kierunku, lecz nie one zwróciły moją uwagę. Wzrok mój zatrzymał się na dziewczynie, która dopiero co weszła; nie w pełni jeszcze zdecydowana, czy ma pozostać, rozglądała się po sali.

Zerwałem się od stolika. Siwy wstał także, zorientowawszy się jednak, co zamierzam zrobić, wrócił do stolika. Kiedy po przetańczonej trójce usiadłem, miał dziwnie niewyraźną minę.

— Co tobie? — spytałem. — Wiesz z kim tańczyłeś? — Przecież widziałeś, z dziewczyną... — Z dziewczyną, z dziewczyną... To córka Starego...

— A co, ona inna? — próbowałem żartować. — No nie — już z rezygnacją odpowiedział Siwy — ale wiesz, jak Stary się dowie, rozumiesz, znasz go przecież... Znowu ci będzie trud...

Mimo ostrzeżenia dalej tańczyłem z Wandą. Urzekła mnie. Była mieszaniną temperamentu i prostoty. Po którymś z kawalków powiedziała, że musi już iść, bo ojciec na nią czeka. Zaproponowałem, że ją odprowadzę. Zgodziła się. Idąc, porównywałem ją z tym gderliwym staruchem i w żaden sposób nie mogłem znaleźć między nimi podobieństwa. Ona w tym czasie opowiadała mi o sobie i o swojej rodzinie. Mówiła, że ją i siostrę od najmłodszych lat wychowywał ojciec.

Rysowany przez nią obraz Starego był inny od obrazu znanego mi człowieka. „Opiekuńczy, wyrozumiały” — to cechy, którymi najczęściej go określała. Czulo się, że darzy go miłością.

W głowie wytworzył mi się zamęt, niewiele z tego rozumiałem. Kiedy zbliżaliśmy się już do ich domu, nagle przypomniałem sobie ostrzeżenie Siwego. Zacząłem się żegnać, zatrzymała mnie jednak na chwilę. W pewnym momencie na obrośniętej dzikim winem werandzie ich domu zamajaczyła postać Starego. Gwałtownie uściśnięm jej rękę i szybko odszedłem.

Rano na miejsce zbiórki spóźniłem się nieco. Czekali już, paląc papierosa. Stary spojrzął na mnie ze zdenerwowaniem.

— Tobie zawsze noc krótka — zaczął. — Gdybyś ty był złoty... — W tym momencie przerwał, na jego pomarszczonej twarzy zarysował się bezradny uśmiech. Nie skończył swojej myśli, machnął z rezygnacją ręką...

Wsiadliśmy na rowery.

## STARY

Paweł Piotrowski

jąca przede mną szklankę i jednym haustem wypilem. Zawirowało mi przed oczyma. Poczulem nagły atak mdłości. Ręką zacisnąłem usta i, zataczając się, odbiegłem od stołu. Oparłszy głowę o ścianę ze złożonych w stos kratownic, przez dłuższą chwilę nie mogłem dojść do siebie. Między jednym, a drugim atakiem mdłości poczułem, że jestem podtrzymywany za ramię. Obejrzałem się, to Siwy stał obok mnie.

— Masz, zażyj, to dobrze ci zrobi — powiedział, podając w garści biały proszek.

— Wapno? — zapytałem zdziwiony i wyspałem w usta podaną mi zawartość.

— Naskrobałem tynku. Masz, popij wodą — dodał podając butelkę.

Kiedy wracaliśmy do stołu, Siwy zatrzymał się i spojrzawszy na mnie, powiedział:

— Musisz się trzymać! Stary będzie robił z ciebie balona.

Siwy miał wiele racji. Po tamtym dniu Stary mnie nie oszczędzał. Już wtedy powiedział, że jestem lachmytą i on takiego, jak ja, za zięcia by nie chciał. Słyszac to, roześmieli się wszyscy. Stary podobnie oświadczał każdemu, kto nie przypadł mu do gustu. Przy następnej, podobnej okazji po wódkę do miasteczka jeździłem już ja. Od tego czasu tak było zawsze.

torebki i wyjęła z niej opakowanie polamanych herbatników, które nosiła ze sobą. Tymczasem samiec wsparł szyję o pomost i oczekiwał na datki, popatrząc na nią ni to groźnie, ni to prosząco.

— A masz — rzekła kobieta cicho i cisnęła polamany herbatnik do wody. — Ci są zawsze pierwsi. Do wszystkiego. — Gąsior przemlodził wodę dziobem i znów wyciągnął szyję. — A nie mówili? Co go obchodzi tamta i dzieci. Napchać tylko własny brzuch do syta, a pozostali niech się cieszą, że on je.

Male łabędzie usiłowały z różnych stron ominąć matkę, ale ta, blokując im drogę — coraz głośniej, skrzekliwie krzyczała na nie, zamykając rozpostartymi skrzydłami wodę, jakby odganiając od przyglądającej się swojej dziecku.

— Niby taki dumny — już zupełnie głośno mówiła kobieta — a tak się pcha. On musi być pierwszy. We wszystkim. Tak jak tamten. Ere i milczy, i nawet się nie zartoszcy o pozostałych. Ani pokłoci. On też milczał. Całymi dniami, miesiącami, latami. I tak nigdy naprawdę nie byłam pewna, o co mu chodzi. Doszło do tego, że nawet nie wiedziałem, z kim i gdzie pracuje. A przecież tylił się, ebat, tylił się pod jednym dachem. Kiedyś zagroziłam mu, że podam sprawę o rozwód. A on popatrzył na mnie, nawet nie tak pogardliwie i ironicznie jak zawsze, i odparł, wskazując na naszego syna: on musi mieć ojca, póki sam nie stanie na własne nogi. Musi, a ty jak chcesz, to idź. Nie stawiam przeszkód. — On mi nie stawia przeszkód! — kobieta niemal krzyczała. — Przecież nigdy nie zdarzyło się, że nie miał obiadu w porę, żeby nie troszczyła się o niego. Ale przecież musiałam mówić o tym, co mnie boli i doskwiera, bo i do kogoś innego miałam się zwracać, skoro chodziło o nasze sprawy.

Przecież był moim mężem, nie chciałam, aby żył obok. Niby razem, a daleko od siebie, jak całkiem obcy sobie ludzie.

Samica, jakby podniecona krzykiem kobiety, z jeszcze większą zacieklnością i głośniejszym skrzekiem odganiała matkę chcącą z uporem przedrzeć się w stronę ojca, do falujących na wodzie okrucichów. Samiec zaś spokojnie wyciągał szyję, czasami krótko, ostro skrzeczał, jakby przynaglał kobietę do dalszych datków.

— A teraz odszedł, niemal po trzydziestu latach odszedł — mówiła do ptaków łamiącym się głosem — i pozostawił mnie samą, schorowaną, bezradną i nawet bez syna, bo ten złożył własną rodzinę. Odszedł tak, jak kiedyś powiedział. Tyle tylko, że został kartkę, na której sabazgrał, abym była własnym życiem. Własnym, jakim własnym, skoro zabrał mi młodość, cały mój świat, wszystko, więc jakim, pytam! No, odpowiedź mi wrzucił, co ja takiego zrobiłam, aby mnie tak traktować bezitośnie, nieludzko, jak przedmiot. No, odpowiedź! — z nienawiścią zwróciła się do łabędzia, który odchylił dumnie głowę i jak się jej wydawało — popatrzył na nią zimno, ironicznie, z pogardą.

— Taki sam, jak tamten — krzyczała kobieta. — Nie nie chce zrozumieć. Nic! — I z furją zamierzyla się torebką na ptaka, który, lekceważąc nawet rozsypane kawalki herbatnika na wodzie, odwrócił się od niej tyłem i spokojnie zaczął płynąć w stronę swej gęsi i młodych.

Tymczasem na pomost z rumorem wbiegło kilkoro dzieci. Łabędzie, snadź przywykłe do nich, nie spłoszyły się, tylko zaczęły płynąć w ich stronę. Kiedy kobieta usłyszała tupot dzieci, odwróciła zalaną łzami twarz i z nagłą pochyłona, niemal utykając, ruszyła w stronę brzegu.

## Samotna i łabędź

Stanisław Andrzej Łukowski

W PIERWSZEJ połowie czerwca ośrodek wypoczynkowy, położony nad małym jeziorem, zajmowali przeważnie emeryci lub rodziny z małymi, nie chodzącymi jeszcze do szkoły, dziećmi.

Niespełna sześćdziesięcioletnia, o śladach znacznej urody, kobieta, która przyjechała tutaj sama, stroniła od reszty ludzi, z czasem organizujących się w grupy; jedni z uporem i pasją starców grywali o drobne sumy w karty, inni godzinami śleczeli nad szachownicami, jeszcze inni penetrowali niewielki zagajnik bądź też godzinami wysiadywali nad wodą z wędkami w rękę.

Samotna kobieta najchętniej chodziła nad jeziorek, czasami — nie bez lęku zresztą — na leżący tuż nad wodą długi drewniany pomost, i bez

większego zainteresowania popatrywała przed siebie, ciągle jakaś taka samotna, zagubiona, bezradna.

Pewnego dnia, kiedy słońce wyjrzało zza niskich, niemal jesiennych, chmur kobita zobaczyła po drugiej stronie jeziora gromadę wodnych ptaków. Zrazu myślała, że są to płochniwe kaczkę, lecz kiedy zaczęły zbliżać się w jej stronę, zorientowała się, iż jest to łabędzia rodzina: dwa duże, dorosłe, ośniewające białe ptaki oraz cztery puszyste, przypominające szare kłębkę waty, łabędzątka. Gdy podplęły bliżej, kobieta zadziwiła się, że małe — w przeciwieństwie do rodziców — mają niemal granatowe dzioby oraz takież szybko wlotujące łapki.

W pewnej odległości samica zataraśowała małym drogę i skrzekliwie zaczęła je nawoływać, samiec zaś, z wygiętą w łuk maszyną szyją, szybko podplęwał do desek i nieoczekiwanie wyciągnął w stronę kobiety głowę z otwartym dziobem, aż ta wzdrgnęła się z przestrachu i lekliwie rozejrzała po zupełnie pustym pomoście, jakby szukała pomocy.

Wreszcie, opanowana, sięgnęła do

## Edward Franciszek Cimek

podobno nie można utrwalić  
kształtu kochającego serca  
bo nie ma aż tak szlachetnego tworzywa

i nie można uwiecznić koloru miłości  
gdyż każda barwa na obrazie spłonie

nawet nufa serdeczna gwałtownieje i znika  
w topieli uczucia

więc może słowa zakwitną  
gorącym milczeniem  
jak róża  
izawijająca perłiste ziarenkami burzy

jak stokrotkę  
do tyle tutaj melancholii  
nawet ty nie uśmiechasz się  
ani motyl nie tańczy

Wiersze się czyta w specjalnej godzinie.  
Jak miłosne listy.  
Jak tajne ułotki.  
Lubomir Lewczew

przyjdź na biesiadę  
cierpką porą  
razem wejdziemy w głębię słowa  
gdzie trzask płomieni  
i gniew wody  
a do szkieł ścieka  
słodkość miodu  
i nocą dzwoni  
mosiądz nieba

zobaczysz  
jak spod bystrzych kopin  
skrzydlatego konia  
wytrysną myśli  
w bryzgach złotych

a gdy muzyka  
barwy rozkołysze  
wybuchnie cisza  
z wnętrza gromu  
i rozkosz  
przyłgnie niecierpliwie  
do splecionych dłoni

## WE MGLE

jest mi potrzebny okruch słońca  
chcę go do serca przypiąć

koniecznie muszę  
wydobyć z pajęczyn  
smużkę promieni  
i zamienić je w tęczę  
której barwy podsyćę troską  
niech rozkwitają  
błękitnozielonym płomieniem  
jak wiosna  
niech błyszczą  
złotoczerwona radością

ależ ten rubin  
czerwienieje  
jak kropla życia  
najserdeczniej  
a jest on taki  
pięknie martwy  
że w swej niemocy  
aż szlachetny

gałązka światła  
na kryształ  
wesół refleks  
i oto krawędź  
bezlitośnie  
iskracącym żądłem  
ciscka we mnie

## DEBIUTY

Jacek Rączkiewicz

### MEZCZYZNA I KOBIECI

Mężczyzna buduje dom  
Kobieta czyni w nim ciepło  
Mężczyzna drwa rąbie  
Dłonią krzepką  
Kobieta nimi rozpala  
Ognisko.

Mężczyzna ziemię czarną uprawia  
Kobieta pieści jego pracę  
Mężczyzna ziarno zbiera  
Kobieta czyni zaczyn  
Chleba.

Mężczyzna nad chlebem  
Głowę pochyla  
Kobieta nóż do krajania daje  
Niezgrabną ręką  
Niezgrabny mężczyzna  
Zgrabne kromki  
Kraje.

Kobieta kromkę chleba całuje  
Zanim ją masłem obłoży  
Mężczyzna mleko jeszcze ciepłuchne  
W glinianych garnkach  
Do zimnej opuścił  
Wody.

Mężczyzna na zrydlu przysiadł  
Kobieta kuchni dogląda  
W komnatach spokój i cisza  
I zapach pracy  
Człowieka.

Mężczyzna uniósł się z zrydła  
Kobietę objął ramieniem  
Z pieca wziął ogień  
I poszli uprawiać  
Ziemię.



Rys. Urszula Giersson

Andrzej Pietrzykowski

## NOS

Dobrze, że mam  
mój nos,  
bo gdy  
zaczne marzyć o  
rzeczach wielkich i pięknych,  
albo  
myśleć, a myśl ma  
nad szczyt Olimpu wzleci  
i będę czuł w sobie  
siłę tysięcy herosów  
i mądrość miliona mędrców  
i wiarę miliarda fanatyków.  
wystarczy,  
ze zerknę na mój nos  
zadarty i śmieszny,  
a on przypomni mi,  
że jestem tylko  
człowiekiem.

Maria Lopatkowa: „Podgryzana”.  
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1985,  
str. 245, cena 190 zł.

Jakże to znamy z własnych spostrzeżeń: ktoś, kto poniósł zasługi w zorganizowaniu jakiegoś odcinka pracy społecznej i czuje się uczciwie związany z pełnioną przez siebie funkcją oraz stara się poprawić warunki egzystencji ludzi, którym poświęcił spory kawałek swojego życia, jest sekowany przez koterię. Koterię nawet nie zainteresowaną przechwyceniem stanowiska podgryzanego, wykonującą swoje zabiegi tylko dlatego, że ten ktoś okazał się pracowity, nieprzekupny, zasłużony, a więc inny. Spłaszczyc, objąć równaniem w dół — ta szczytna idea przyświeca podgryzaczom, którzy i tak potrafią swoje nieczyste zabiegi przedstawić jako rezultat troski społecznej. „Choćby miał piętnaście zasług i dwadzieścia pięć cech dodatnich, zawsze na niego coś znajdziemy”. I bohaterka tej książki — zresztą to autentyczny, wyznawca osobiste autorki — wciąż jest wzywana przez ministerstwo (oświaty i wychowania), zarząd związku zawodowego, lokalną władzę terenową. Wciąż musi gdzieś interweniować, by znaleźć uznanie dla przedsięwzięć, które powinny być przyjęte — na odwrót — z uznaniem. Dodajmy, że książka napisana jest bardzo sprawnie. To wnikliwe studium psychologii zawiści jest wzbogacone partiami fabularnymi, tak więc „Podgryzana” czyta się jak powieść, w dodatku sensacyjną, a sensacyjną tym bardziej, że oparta na realiach. Nie zakomponowanych według zasad fikcji literackiej, lecz po reportersku autentycznych.

Zygmunt Mikulski

## Cegła? Bestseller?

Tadeusz Moźdzynski: „Smak chleba”.  
Wydawnictwo Literackie, 1985, str. 168,  
cena 120 zł.

Autor już nie żyje, więc ewentualnie ujemne sądy należałoby może laudować stosownie do znanego powiedzonka, że „nic, jeśli nie dobrze...”. Ale w ten sposób nie zbliżylibyśmy się do charakteru tej powieści. Zresztą nie powoduje ona nadmiaru ocen dyskredytujących. Powoduje tylko letniość odbioru. Dlaczego? Też nie dlatego, że jest to w gruncie rzeczy powieść produkcyjna znanej proveniencji wczesnych lat pięćdziesiątych, ale dlatego, że ten typ bohaterów, przeżyć, sytuacji chce nobilitować współczesną stylizacją. Więc tam, gdzie wówczas był dretwy propagandowy postulat, teraz jest propozycja, gdzie manifestacyjna ofiarność na pokaz — poczucie interesu, gdzie bierne posłuszeństwo — świadomość społecznej potrzeby, przeciw której od czasu do czasu nawet się wierzgnie. Ale jest to samo uproszczenie w konstruowaniu charakterów, ta sama łatwość w ocenie życiowych sytuacji, ta sama pewność w analizie ludzkiego życia pod mikroskopem. A także sporo autorskich przedsięwzięć, tworzących okoliczności określane mianem deus ex machina. Np. do leśniczego, przyszłego teścia bohatera narracji, przychodzi on z narzeczoną. Natychmiast zjawiają się współtowarzysze z oddziału partyzanckiego, zaproszeni przez leśniczego, który ich w dodatku nie zna z nazwisk, a tylko z konspiracyjnych pseudonimów. Jakim zbiegiem okoliczności spotkał ich i jakim

zaprosił na ten właśnie moment? Ale inaczej nie byłoby dyskusji, wspomnień, wspólnych postanowień, a to jakże pasuje do tego rodzaju powieści. Mimo zapewnienia wydawnictwa, zawartego w nocie o autorze, jest to bardziej utwór literacki, niż obraz życia.

Zygmunt Kalużyński: „Widok z pozycji przewróconego”. PIW, 1985, str. 369, cena 180 zł.

Ulubione słowo Kalużyńskiego to „ferment”. On sam najlepiej się czuje w atmosferze sporów, przewartościowywań, innowacji, nawet nie koniecznych ulepszących, byle powstałych, byle dających możliwość zajęcia oryginalnego stanowiska, sposobność do polemiki. Kalużyńskiemu nie wystarcza stwierdzenie słuszne. Musi być jeszcze ekspresyjne, lepiej — zaskakujące, a najlepiej — szokujące. Ten erudyta, na każdą okazję syplący z rękawa wiadomości, aż dziw, jak czasem nie z jego profesji, postępuje tak, jakby się droczył z czytelnikiem, a zawsze musi go epatować. Najchętniej by dowodził, że koło jest kwadratowe, zielen czerwoną, a karzeł olbrzymem. I nie wiadomo, czy kiedyś czegoś takiego nie przeczytamy, skoro pochwałę brudu jego autorstwa już mieliśmy. Zawsze zasypuje danymi, faktami, faktikami, co przytłacza czytającego i czyni go maluczkim wobec potęgi tego klerka. Spytać Kalużyńskiego, jaki okrzyk wydawał Anglicy polujący na lisa — będzie wiedział. Wiedzieć i zaskakiwać — to dewiza tego umysłu, zorganizowanego nie filozoficznie, lecz polemicznie. Tak właśnie jest zakomponowana i najnowsza jego książka. Popatrzymy tylko na tytuły poszczególnych rozdziałów: „Socjalistyczna Księga Hioba”, „Władza to wampiryzm”, „Starczy i nowi dezertery”, „Z bestią pod pachę”, „Sprawiedliwość robi strip-tease” itd. Sporo o filmie, trochę o teatrze,

a wszystko w sosie sporów, przymówek, potyczek. I o dziwo: to nie tracą aspektu merytorycznego, nie presuwa sprawy na płaszczyznę połączoną personalnych. A z jaką lubością Kalużyński cytuje inwektywy pod swoim adresem! To są wszystkie wota składane na ołtarzu Eris, czyli bogini sporu i kłótni.

Njna Andrycz: „Drugie spotkanie z diabłem”. Czytelnik, 1985, str. 93, cena 100 zł.

Gdyby poezja była zjawiskiem literackim, ściśle: zjawiskiem z życia literackiego lub czasopiśmiennictwa, ten tom można by nazwać poezją outsidera. Tak właśnie absenteuje się od spraw aktualnych wierszopisarstwa, wierszomiernictwa itp., często aktualnych aktualnością tygodniową. Czy więc można powiedzieć, że jest to poezja ponadczasowa? Ze ponadgeograficzna — na pewno. Pełno w niej Paryżów, Damaszków, Amsterdamów, Marajli, Birn, Rangunów, Pekinów, Szanghajów, Benaresów — z samego wyliczenia chwytła zadyszka. Ale nie ogranicza to, nie zmniejsza prawdy lirycznego wyznania. Czuję się w tym doświadczenie, przeważnie gorzkie, dojrzałego człowieka. Ale nie dla podbudowy psychicznej, ani dla wykarzenia się przed czytelnikiem te wiersze są napisane. Tylko nie tyle język, co użytkowanie języka jest tu nieco staroświeckie. Ale skoro się rzekło o pozagraniczności tych tekstów w stosunku do dzisiejszych stylizacji, które jakże często są tylko manieryzmem... I rzecz osobliwa: znacznie lepsze są utwory — jest ich jednak mniejszość — napisane w konwencji poetyki regularnej, tradycyjnej. Może trzeciemu spotkaniu z diabłem (poprzedni tom był spotkaniem pierwszym) uwzględni niniejsze sugestie i otrzymamy coś w rodzaju anachroniczności, która w ten właśnie sposób okaże się aktualna?



## Od Cassino do Bolonii

— 5 —

# Major Smrokowski

Feliks Kępa

**B**YL wspaniałym dowódcą o wielkiej intuicji oraz umiejętności rzeczowej oceny terenu i sytuacji bojowej w każdej okoliczności na polu walki. Przy tym cechowała go rzadko spotykana odwaga. „Dowódca i działam osobiście” — to łatwo rzucająca się w oczy cecha charakteru tego wspaniałego Polaka i żołnierza.

Urodził się w Krakowie 25 września 1909 r. Tutaj też, w IV Gimnazjum Państwowym im. Henryka Sienkiewicza przy ul. Krupniczej, uzyskał maturę, a następnie rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednak po pierwszym roku doszedł do wniosku, że jego prawdziwym życiowym powołaniem jest służba ojczyźnie. Wstąpił do szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komorowie, aby po trzech latach, w 1932 r., uzyskać patent podporucznika. Służył najpierw w 3 Pułku Strzelców Podhalańskich, w roku 1935 został instruktorem S.P.P. w Cieszynie, aby szkolić tam i wychowywać młodych kandydatów na oficerów 21 Dywizji Podhalańskiej. W 1939 r., już w stopniu porucznika, został dowódcą 3 kompanii ckm w 4 Pułku Strzelców Podhalańskich.

Nadechł wrzesień 1939 r. W walkach nad Dunajcem por. Władysław Smrokowski wyróżnił się w akcji 3 baonu podczas zdobywania mostu i brodów na rzece w pobliżu miejscowości Biskupice. Stojąc na czele dwóch kompanii w bitwie pod Koziejówką, walczył z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. W bitwie tej zginął generał Kustroń. Następnie bije się w okręgu pod Uhnówem i Tomaszowem Lubelskim.

W swej książce „Armia Kraków 1939” płk W. Szablak pisze m.in.: „Resztki 4 p.s.p. oraz 3 baon p.s.p. nacierały z 75 p.p. na Tomaszów. [...] Po przerwanym natarciu ppłk Warzybok wyznaczył na dowódcę oddz. resztek 4 p.s.p. dzielnego dowódcę 8 kompanii por. Władysława Smrokowskiego, dając mu roz-

kaz przedzierania się wzdłuż rzeki Solokija ku wschodowi na Włodzimierz. O zmroku ruszono. [...] ppłk Warzybok i por. Boruś zostali ranni, wskutek czego stracili kontakt z oddziałem por. Smrokowskiego. Oddział por. Smrokowskiego (około 240 żołnierzy) zdołał przetrwać się poza Belzec i rano 21 września osiągnął Uhnów. Przed wieczorem był zaatakowany przez motocyklistów od strony Rawy Ruskiej, ale ich odrzucił. Wieczorem nawlażał łączność z własną kawalerią. [...] nadchodząca od Hrubieszowa. Rano 22 września artyleria niemiecka wzięła Uhnów pod silny ogień i zapaliła go. Wtedy oddział por. Smrokowskiego wycofał się do lasu na północ i trzymał się w nim do 25 września”.

25 września, w dniu swoich urodzin, por. Smrokowski zbiera oddział i próbuje przebić się na południe. Silny opór Niemców, mimo zaciętych walk grupy Smrokowskiego, udaremnia jego plany przebiecia się zwartym oddziałem. Rozprasza więc oddział na drobne grupy. Na czele najsilniejszej z nich udaje mu się wymknąć z kotła niemieckiego. 28 września przekracza granicę węgierską.

Dowódcą 4 Pułku Strzelców Podhalańskich za dzielność i wspaniałe zachowanie się por. Smrokowskiego podał go do odznaczenia Orderem „Virtuti Militari”, co zresztą nie zostało zrealizowane na skutek bezradnej sytuacji w kraju. (Dopiero w szereg lat po wojnie władze PRL na podstawie odnalezionych dokumentów 4 p.s.p. nadały Władysławowi Smrokowskiemu Order „Virtuti Militari” V kl.).

Po ucieczce z obozu internowanych na Węgrzech porucznik Smrokowski przedarł się przez Jugosławię i Włochy do Francji. I tutaj, awansowany 3 maja 1940 r. do stopnia kapitana, otrzymał przydział do 3 pułku 1 Dywizji Grenadierów gen. Bronisława Ducha, biorąc następnie udział we wszystkich walkach tego pułku oraz dywizji, która „biła się do ostatniej chwili i nie skapitulowała”.

Wykonując rozkaz generała Ducha „444 Wykonać” (rozkaz rozproszenia się), kapitan Smrokowski wraz z grupą żołnierzy przediera się na południe, do Francji nieokupowanej. Podczas przekraczania linii granicznej, w czasie walki z niemieckim patrolem, zostaje ciężko ranny w nogę. Żołnierze, którym cały czas przewodził, zabierają go ze sobą; udaje mu się uniknąć niewoli. Po bolesnej i długiej wędrówce z towarzyszami dociera do Lyonu i tu znajduje na jakiś czas schronienie. Po wyleczeniu nogi rusza dalej; przediera się przez Pireneje do Hiszpanii, potem do Portugalii, wreszcie — via Gibraltar — dociera do Wielkiej Brytanii. Na wniosek generała Bronisława Ducha zostaje odznaczony Orderem „Virtuti Militari” V kl. (Później, po bitwie o Monte Cassino i Ankonę, został uhonorowany „Virtuti Militari” klasy IV).

W Wielkiej Brytanii kapitan Smrokowski nie zagraża długo miejsca. Wyjechał do Ameryki z Polską Misją Werbunkową gen. Ducha, zostając dowódcą Stacji Zbornej. W połowie czerwca 1942 r. wraca do Szkocji i obejmuje dowództwo 4 kompanii w 2 Batalionie Strzelców „Kratkowane Lwiątko” stacjonującym w mieście Cupar, stolicy hrabstwa Fife. A kiedy rozkazem Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, z dnia 28 sierpnia 1942 r. zostało zarządzone sformowanie 1 Samodzielnej Kompanii Commando,

na dowódcę tej kompanii wyznaczono kpt. Władysława Smrokowskiego...

W miarę upływu czasu pomiędzy dowódcą Samodzielnej Kompanii Commando a jego podwładnymi zacieśniała się coraz bardziej więź prawdziwej przyjaźni. Jak mało kto, potrafił imponować swoją odwagą, ale także spokojem i rozumą w najcięższym nawet ogniu. Bez chwili zastanowienia jego ludzie poszliby za nim, pełni ufności, do najbardziej niebezpiecznych akcji. Tak też było podczas bitwy o Monte Cassino, gdy 1 Samodzielna Kompania Commando, wzmocniona szwadronem szturmowym 15 Pułku Ułanów Poznańskich, szła poprzez dym i kurz bitewny do szturmowania San Angelo, zięjąc niemieckim ogniem „Wzgórze Anioła Śmierci”...

„Idziemy za »Starym« jak cienie, niemal wstępując w ślady jego stóp — wspominał na kartach książki „Zielony Talizman”, wydanej w Bolonii w 1945 r., ówczesny plutonowy podchorąży Jerzy Cieniewicz. — Przesłonięci krzakami schodzimy po zboczu. Kanonada i strzelanina nie ustaje. Niemieckie moździerze usiłują wymacać naszą Kompanię. Przechodzimy zasieki z drutu kolczastego, zbiegamy niżej, kierując się na las.



Mjr Władysław Smrokowski. Italia 1944

Gwizd, huk, dym, syk rozpryskujących się odłamków i kamieni. Jest nas siedmiu — niemal obok siebie. Pociski padają niżej, wyżej, tuż obok nas, w górę wypryskują słupy ziemi, na stoku pojawiają się leje niczym ropiejące rany. »Stary« klnie. Jakikolwiek ukrywanie się przy pozostawaniu w tym rejonie byłoby absurdem. Pociski wała bez przerwy w tym samym pasie. [...] »Stary« z trudem decyduje się na wycofanie do linii grzbietu góry. Kpt. Zalewski jest w sytuacji tak ciężkiej, że nie może zebrać rannych. [...] Oddziały są rozbite na grupy celem uniknięcia strat. Pociski padają z różnych kierunków. Niemiecka artyleria wydłuża celownik. W powietrzu grudy ziemi i kamienia. Stąd nie ustąpimy. [...] »Stary« siedzi chmurny. Nie odzywa się do nikogo. [...]

Siedzieliśmy w rodzaju stanowiska wysoko obłożonego kamieniami, które nie stwarzały ani pół metra cienia. Pot splotał po twarzy, choć siedzieliśmy

bez ruchu, drelich ciężki niemiłosiernie.

— Korzystna dla nas okazja. Samoloty sprzymierzonych zniszczyły około 30 stanowisk moździerzy nieprzyjaciela... — Dowódca szwadronu szturmowego por. Cegielski mówi to z lekką swadą.

»Stary« przeciąga kości. [...] Kiedy TO nastąpi? Kiedy poderwie nas rozkaz? Patrzy jeden na drugiego i zdaje się w twarzy kolegi szukać odpowiedzi. Lecz twarze są znużone, o zastygłym wyrazie... Nieprzespana noc, atak, upał i ten nieustający terkot wybuchów, trwający od ranka... Wszyscy czekają.

Przychodzą rozkazy. Mamy wesprzeć batalion majora Buczkowskiego, który resztką ludzi utrzymuje stok Colle San Angelo, gdzie niemieckie oddziały spadochronowe po silnym przeciwnatarciu ponownie opanowały szczyt.

Schodzimy w dół. [...] Z naszej prawej strony »Widmo«. Dostajemy się na nie skokami. [...] Mijamy rozbite doszczętnie stanowiska. Z gruzów sterczą karabiny, wokół walają się mundury, maski przeciwgazowe, chlebaki, skrzynki z amunicją. W nozdrza uderza straszny smród rozkładających się, gnijących w skwarze ciał poległych. [...] Pociski artylerii niemieckiej zdają się nas ścigać. Zbocze »Widma« rzygnęło tumanem rozbitej ziemi. [...] Przed nami stok San Angelo. [...] Długie serie »Spandau'ów« wała nas między kamieniami. Na zboczu dwa bunkry zięjące ogniem. Ze szczytu »Widma« — klask i rosnące w locie syki pocisków moździerzy.

Zelazo spada na dolinę, którą nacierają nasza Kompania. Tak się chodzilo do boju pod wodzą majora Władysława Smrokowskiego. W wiele lat po wojnie, w kolejną rocznicę przedwczesnej śmierci mjr. Smrokowskiego, jeden z oficerów jego kompanii (dziś także już nie żyjący) mjr Maciej Zajackowski napisał:

„Był jednym z tych nielicznych dowódców, którzy dowodzili oddziałem od chwili jego powstania aż do rozwiązania. Odnaczał się dużą odwagą osobistą, ale dbał o życie żołnierza. Jego decyzje były rozważne i przemyślane, nawet w komandosowych warunkach, gdzie rozkaz musiał być wydany prawie natychmiast po zaistnieniu nowej sytuacji. Potrafił porwać za sobą żołnierzy; był urodzonym przywódcą. A jako dowódcy towarzyszyło mu przez cały czas niebywałe szczęście żołnierskie. O powierzone mu oddziały dbał jak mało kto. [...] Otaczał żołnierza ojcowską opieką, jednak gdy zaszła potrzeba, był surowym, ale zawsze sprawiedliwym. [...] Umiał dobierać sobie ludzi, co było rzeczą ważną zwłaszcza w działaniach wojennych takiego oddziału jak komandosi. [...] Był towarzyski i wesoly, miał duże poczucie humoru, potrafił opowiadać o różnych zdarzeniach, zawsze wydobytą z nich dozę wesołości. Tak jak dbał o swój oddział na wojnie, tak troszczył się o swoją rodzinę [osiedliwszy się w Chicago — F.K.] w czasie pokoju. Pracował ciężko, by zapewnić odpowiedni byt żonie i dzieciom. Odejście jego było zaskoczeniem dla nas wszystkich”.

Takim oto człowiekiem był „Wódz” naszego Zgrupowania Commando.

Do druku przygotował: Miroslaw Derecki

## Polemiki

# „Szaruga” a ŻAP

Po ukazaniu się listu p. Edwarda R. Burego („Kamena” nr 6) postanowiłem jeszcze raz pójść śladem dawnych ustaleń i ponownie poddać je weryfikacji. Walcząc z mitami dotyczącymi okresu okupacji, jestem jak najdalej od tworzenia ich samemu. Ale w życiu różnie bywa. Napisałem więc kilka listów, aby upewnić się jeszcze raz, czy aby w sporze z p. Burem nie zajmuję stanowiska błędnego. Odpowiedzi, jakie otrzymałem, przyznają jednak rację moim ustaleniom. Wśród listów była również odpowiedź od p. Wojciecha Rokickiego, jednego z założycieli i kierowników organizacji „Żołnierze Armii Polskiej”. Autor listu wy-

raził zgodę na jego opublikowanie, stawiając warunek niedokonywania w nim żadnych skrótów. Korzystam z tej zgody na warunkach ustalonych przez autora, licząc, iż „Kamena” list ten opublikuje.

Ireneusz Caban

Szanowny Paniel

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w świątecznej „Kamencie” artykuł p. Edwarda R. Burego pt. „Szaruga” a ŻAP. Jest sprawą niewątpliwą, że architektem tego elaboratu jest jego bohater, natomiast p. E. Bury użył tylko pióra i nazwiska. Wydał mi się, że wartość literacka omawianego artykułu jest znaczna i jako taka łatwo da się zaliczyć do dzieł z gatunku — panegiryk sentymentalny.

Posiada (artykuł oczywiście) również wartości wychowawcze i dlatego powinien nim zainteresować się „Swierczyk”, organ naszych milusińskich. Jest powiastką o Tomciu Paluchu, jest powiastką o Dzielnym Szewczyku, który poraził okrutnego smoka wawelskiego, powinna też powstać powiastka o harcerzyku bez skazy. Natomiast co się tyczy wartości faktograficznych opracowania — należy włożyć go między bajki. Emanuje z niego tylko wybujała, bezkrytyczna megalomania.

Czas na kilka faktów á propos. Oto one:

1) Wobec pogarszających się stosunków z Niemcami zarządzona została 23 marca 1939 r. niejawna mobilizacja czterech dywizji piechoty: 9, 20, 26, 30 (niejawna tzn. na podstawie osobistych kart powołania). Nas interesuje 9 dp. Początkowo w stanie pełnej mobilizacji przebywała w swoich garnizonach. Z początkiem czerwca przeniesiono 9 dp w obszar operacyjny Armii „Pomorze”. Interesuje nas ta dywizja, ponieważ w jej skład wchodził 34 pp, dowodzony przez ppłk. Budrewicza. W dniu 3 września 1939 r. 34 pp został otoczony przez przeważające siły wroga

i niemal doszczętnie zniszczony. Tylko niewielka grupa (3 oficerów i 20 szeregowych) wraz z dowódcą rozbitej 9 dp, płk. Werobejem, przedostała się w rejon Kutna. (Źródło: Marian Porwit, Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 r., tom 1, s. 135, 207—208, 211, 217). W świetle powyższego żenująco jest stwierdzenie A. Sarkisowa-„Szarugi”, wyrażone we własnoręcznie sporządzonej notatce pt. „Krótki rys organizacji i akcji oddziału Szarugi”, że w drugim dniu mobilizacji stawił się w 34 pp — swoim macierzystym pułku. W tym czasie 34 pp toczył już ciężkie boje nad górną Brdą. Na tle powyższego staje się również bardziej zrozumiałym brak precyzji, jak na oficera wysokiego stopnia, w określeniu swoich przeżyć wojennych w 1939 r. W jakiej jednostce walczył pod Rawą Ruską? Czy oddziały te zostały rozbite czy tylko zepchnięte, więc nie rozbite? Co oznacza w tym przypadku termin „zepchnięte”? Jeśli tylko zepchnięte, to dlaczego opuścił szeregi i udał się do Warszawy, która w tym czasie była przecież przez Niemców oblegana? Czy był ranny czy kontuzjowany?



**U**MÓWIŁA była na rozmowę z panem Tadeuszem Grobelskim, mistrzem rzemiosła artystycznego, w jego pracowni. Zanim dotarłam pod wskazany adres, wyobraziłam sobie tę pracownię jako pomieszczenie stylowe, z wydzieloną częścią recepcyjną i warsztatem oraz odpowiednią do reprezentowania branży (literatura i metaloplastyka) witrzyną, która przyciągałaby oko każdego przechodnia, rekomendując najlepsze i najokazalsze wyroby.

Zastana jednakże rzeczywistość ostudziła moje imaginacje. Informacja zawarta na szydzie przy ul. Kunickiego 78 poprowadziła najpierw ciemnymi schodkami w górę, potem w dół, przez zagrane podwórko do niewielkiego, niskoparterowego pomieszczenia. Słomiana mata z wyeksponowanym na niej asortymentem wyrobów pełniła funkcję firmowego katalogu, a jedynym stylowym akcentem okazały się jelenie rogi, pamiątka rodzinna, nie mająca bynajmniej żadnego związku z branżą mego rozmówcy.

I tak oto wyszły na jaw rzemieślnicze realia i uwikłania, szczególnie kiedy przeszliśmy z panem Grobelskim do dalszej części jego zakładu i zaplecza produkcyjnego, utkniętego gdzieś pod sienią tej niby-kamieniczki, wyglądającej już od dawna remontu.

— Ile wynosi opłata za te czeluści? — spytałam.

— Mieszkańcy na parterze — zaspokoił moją ciekawość pan Tadeusz — płacą mniej więcej dwieście złotych, czynsz za pracownię jest dziesięciokrotnie wyższy...

W takich lub niewiele lepszych warunkach egzystuje jeszcze wiele zakładów rzemieślniczych w Lublinie. Z trudem tu dochodzi przyszłowiwe zielone światło. Nie najlepsze warunki lokalowe placówek rzemieślniczych były m.in. przedmiotem marseowego posiedzenia zarówno lubelskiej Wojewódzkiej Komisji Współdziałania PZPR, ZSL, SD, jak i obrad wysokiego rzemieślniczego forum — IV Krajowego Zjazdu Delegatów Rzemiosła w Warszawie.

Jednym z dwudziestu reprezentantów naszego esterowejowskiego regionu na Zjazd był właśnie pan Tadeusz Grobelski, pełniący w Lublinie funkcję członka Zarządu Izby Rzemieślniczej, jak również zasiadający w Prezydium Wojewódzkiego i Miejskiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego. Górę więc nad subtelny dociekaniami o wyższości secesyjnego motywu nad geometrycznym, tak czy siak pięknie zdobionym jedne z pana — Tadeuszowych wyrobów — miedziane i mosiężne bransolety i spinki — wzięły problemy od lat trapiące rzemiosło. Najważniejsze w naszej rozmowie stały się nadzieje i obawy 713 tysięcy ludzi, zatrudnianych (łącznie z właścicielami) w 325 800 zakładach w kraju, które osiągają rocznie 520 miliardów złotych obrotu.

Skala problemów naszego regionu obejmuje 16 tysięcy zakładów rzemieślniczych skupionych w lubelskiej Izbie Rzemieślniczej, z czego 75 procent to jedno- lub dwuosobowe warsztaczki. Rozdrobnienie więc lubelskiego rzemiosła jest duże. A ewentualny wzrost zatrudnienia, konieczny w przypadku poszukiwanej i społecznie potrzebnej produkcji lub usługi, musi drastycznie rzutować na zysk, minimalizując go — z tytułu obciążeń fiskalnych — dotkliwie i zniechęcająco. Urealnienia i ustabilizowania polityki podatkowej rzemieślnicy domagają się już od dawna. Problem ten, jak na razie, typie na rzemiosło czerwonym raczej światłem. Ubywa więc zakładów, szczególnie produkujących poszukiwane narzędzia i części do domowego i gospodarskiego użytku. Do tego dochodzą tradycyjne już braki materiałów, surowców i urządzeń — mурowany temat dziennikarskich dywagacji o polskim rzemiosle. Na IV Krajowym Zjeździe Delegatów Rzemiosła postulowano, by dostępne stały się rzemieślnikom, niezbędne dla przemysłu, odstawiłone już na złom, maszyny i urządzenia. Przy niedostatku nowych z takiego demobilu można coś jeszcze wybrać i zrekonstruować, bodaj części.

Niepokojący także jest coraz mniejszy dopływ kandydatów do nauki zawodu. Pan Tadeusz przegłąda zjazdowe notatki. Rzemieślnicy poddali krytyce system nauczania zawodu. Cztery dni w tygodniu nauki w szkole, i tylko dwa dni przy warsztacie. Dla solidnego włożenia się w arkania róż-

nych branż jest to stanowczo za mało. Kiedyś łatwiej przecież terminowali, najczęściej bezpłatnie, czeladnicy u majstrów, wyzwalając się po osiągnięciu kolejnych stopni rzemieślniczego wtajemniczenia. Oczywiście, że kryteria i stosowne wymogi zostały i dzisiaj przez cechy zachowane przy nadawaniu rzemieślniczych uprawnień. Jednakże te dwa dni w tygodniu przy warsztacie są — zdaniem doświadczonych rzemieślników — niewystarczające.

— A ilu pan wyszkolił uczniów, panie Tadeuszu?

— Jak na razie, jednego.

— *Ha jest to ogóle mistrzów rzemiosła artystycznego.*

— Dyplomowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki — wylawia dane pan Tadeusz — działa w kraju 800, w naszym regionie 21, z czego w województwie lubelskim 15 i tyleż samo kandyda-

## Rzemiosło prywatne

# Gra w zielone i czerwone

Marta Denys

tów. Zajmują się nimi branżowa komisja rzemiosła artystycznych przy Izbie Rzemieślniczej. Prym wiodą mistrzowie stolarstwa artystycznego, metaloplastyki, tkactwa, fryzjerstwa, kamieniarstwa, ceramiki. Jednego tylko mamy mistrza kowalstwa artystycznego, co jest ciekawostką samą w sobie. Wraz z kielecką Izbą Rzemieślniczą Izba lubelska rozpoczęła szkolenie uczniów w tak unikalnej specjalności jak pozłotnictwo...

Troszkę odskoczyliśmy od problemów doskwierających rzemiosłu. Tymczasem pracownicy pana Tadeusza przynieśli kolejną porcję gotowych, pięknie wykształconych, wypolerowanych spinek i bransolet. Znajdują one nabywców na krajowym i zagranicznych rynkach. Przyszli też harcerze, by przyspieszyć wykonanie rajdowych znaczków. Pracownia świadczy usługi w zakresie literatury, a więc wykonuje znaczki, plakietki, tabliczki znamionowe dla maszyn i urządzeń, zamawiane przez zakłady przemysłowe. Pracownicy Politechniki Lubelskiej przynieśli kalki z projektami obwodów drukowanych. Były kiedyś takie rzemiosła, jak miecznicy, ostrożnicy, pasamonyci i szmuklerze (nie mylić ze szmuglerami), a dzisiaj rzemieślnik wykonuje elementy dla przemysłu precyzyjnego w tej właśnie półsuterenie. Pan Grobelski produkcją owych elementów satysfakcjonuje rozmaitych potentatów, jak Krasnicka Fabryka Łożysk Tocznych i Politechnika Lubelska.

Wertujemy dalej zjazdowe notatki. Najmocniej akcentowali delegaci, by — wzorem rolnictwa — wprowadzić do Konstytucji zapis głoścący, iż rzemiosło jest trwałym elementem gospodarki socjalistycznej, a własność prywatnych środków wytwórczych podlega ochronie państwa. I nie była to myśl nowa, bowiem formułowano ją już w 1983 roku na wspólnym posiedzeniu Biura Politycznego PZPR i Prezydium CK SD. Wtedy to najsiłniej zdawało się świecić zielone światło dla rzemiosła. Gwarancję jego trwałości zawiera także ustawa o wykonywaniu rzemiosła.

Rzeczywistość dowiodła, że światło owo i gwarancje malej były sily, skoro tyle nawarstwilo się obaw i niepokoju o to, co dalej. Tym bardziej, że społeczna aura wokół rzemiosła i rzemieślników naladowana jest niezyczliwością, podejrzliwością, zawiścią. O co? Bo chyba nie o to, że rzemieślnik pracuje dużo więcej ponad 8 godzin, pełniąc zarazem funkcję kierownika, księgowego, zaopatrzeniowca, kierowcy, wykonawcy-miasta, nauczyciela? Wprawdzie miewa spore dochody. Ale wbrew opinii, środki te nie idą wyłącznie na konsumpcję, a na bieżące zaopatrzenie zakładu, inwestycje, materiały. Takie i na cele społeczne. Podczas Zjazdu lubelska delegacja pierwsza zarządziła uroczystą składkę na Narodowy Czyn Pomocy Szkole. Przykłady można by mnożyć.

Oczywiście, że są przypadki nieuczciwego bogactwa się niektórych rzemieślników. Samorządy rze-

mieslaicze zgodnie z uchwałą programową Zjazdu — postanowiły rygorystycznie eliminować te negatywne zjawiska, a rzemieślników łamiących zasady rzetelnego rzemiosła wykluczać ze swojego kręgu. Niedobrze jednak, gdy społeczeństwo swoją dezaprobatę przenosi niesprawiedliwie na cały rzemieślniczy stan. Reakcję tę można tłumaczyć rozgoryczeniem, ogólnym zniechęceniem, nieznanością problemu, małościowością i zazdrością, że ktoś jest zaradniejszy, posiada inicjatywę, pomysłu, odwagę, i że w ogóle ma chęć poderwać się do pracy. Trudniej natomiast usprawiedliwić kogokolwiek, kto nie życzy sobie, by jego dzieci bawiły się i uczyły „razem z rzemieślniczymi bachorami”, bo i takie zdarzają się przypadki.

Rozmowa moja z panem Grobelskim nie wyczerpuje, rzecz jasna, wszystkich tematów i problemów poruszonych na Zjeździe. Wśród nich szukamy tych, które najmocniej pulsują zielonym światłem, a więc nadzieją, może tym razem silniejszą niż obawy (?). Tego kręgu spraw dotyczy uchwalony przez Zjazd na lata 1986—1990 wzrost liczby zakładów rzemieślniczych do 360 tysięcy w skali kraju oraz obrotów do 820 miliardów złotych przy zatrudnieniu 725 tys. osób.

Do Krajowej Rady Rzemiosła wybrane zostały cztery osoby z naszego regionu; z województwa lubelskiego — Tymoteusz Grudziński, fotograf, od 35 lat prowadzący swój zakład przy ulicy Staszica w Lublinie. A wyżej? Wyżej, w Sejmie, po raz pierwszy od 40 lat rzemieślniczy stan reprezentuje poseł Ziemi Lubelskiej — Bolesław Manowicz — z ramienia SD, partii, której bliższe są problemy rzemiosła.

Na koniec pytam mego rozmówcę o politykę rzemieślniczego losu:

— *Panie Tadeuszu, co pan z tego ma?*

— *Co mam? M-4, dwa zjeżdżone samochody (jednym z nich dostarczam materiały i chemikalia do zakładu), na całe szczęście wyrozumiały żonę, no i luksus samodzielnego podejmowania decyzji.*

2) Kiedy stało się jasne, że bitwa graniczna została przegrana, a zagoni pancerne zaczęły przynikać w głąb kraju, plk Umiastowski wystąpił kilkakrotnie z apelem radiowym, wzywając młodych ludzi, którzy nie zostali jeszcze dotychczas zmobilizowani, ażeby kierowali się do województw wschodnich, bo będą tam tworzone nowe jednostki wojskowe. Wkrótce ruszyła na wschód fala młodych ludzi. Wśród nich znalazł się A. Sarkisow, o czym zresztą sam mi mówił, wyrażając swą gorycz, że nie danym mu było walczyć w szeregach wojska.

3) A. Sarkisow wraz z żoną, a moją siostrą, przybył do Lublina w początkach listopada 1939 r. (szczegółowej daty nie pamiętam). Zatrzymali się w mieszkaniu mojej matki przy ul. Sądowej 10, gdzie zresztą i ja mieszkam. Ich pobyt trwał kilka tygodni. Po pewnym czasie zorientował się, że jestem zaangażowany w jakiejś pracy konspiracyjnej i wyraził gotowość, a nawet życzenie, ażeby go do tej pracy wciągnął. Rozmawialiśmy na ten temat jeszcze kilkakrotnie. A raz w drodze do postoju dorożek, znajdującego się na rogu Krakowskiego Przed-

miescia i Ewangelickiej. Tam rozstaliśmy się, a ja wsiadłem do sanek (dorożkarskich), tak, właśnie do sanek, bo była to już głęboka i śnieżna zima. A. Sarkisow niewątpliwie ten moment pamięta. Któregoś dnia, po porozumieniu się z kolegami z ZAP-u, zaproponowałem mu zorganizowanie komórek ZAP w Chełmie. Znał ten teren i miał szerokie znajomości w kręgach harcerskich przede wszystkim. Wyraził zgodę i, wyposażony w pewne środki finansowe, udał się wraz z żoną do Chełma. Pobyt A. Sarkisowa zakończył się dość dramatycznie. Do mieszkania, w którym przebywał z kilku młodymi ludźmi, wtargnęło gestapo. A. Sarkisow uniknął aresztowania, opuszczając na czas mieszkanie klatką kuchenną. Tak przynajmniej brzmiała jego relacja. Po tym wydarzeniu przyjechali oboje do Lublina na ul. Sądową. Stąd po otrzymaniu lewych dowodów osobistych (w tym czasie pracowałem w wydziale dowodów osobistych Zarządu m. Lublina) wyjechali do Motycz.

4) Oddział utrzymywałem z A. Sarkisowem ścisłą łączność. Po pewnym czasie wspólnie rozpoczęliśmy organi-

zowanie komórek konspiracyjnych na terenie Rejonu ZWZ-AK Motycz. Jednak nigdy, ani wtedy, ani przedtem, ani potem, nie slyszalem o organizacji pod nazwą „Związek Polski Niepodległej”. No cóż, nie pierwszy to tego rodzaju przypadek. Niektórzy myślą, że minęło już tyle czasu, że bez większego ryzyka można popuścić wodzy wybujałej fantazji. A te „mocne” dokumenty? Są po prostu nieprawdziwe.

5) Odnośnie tworzenia się oddziałów partyzanckich, to A. Sarkisow miał wpływ jedynie na powstanie pierwszego kilkunastoosobowego oddziału, który pod dowództwem „Zegoty” wyruszył w teren. Wkrótce oddziałek ten na polecenie komendanta obwodu połączył się w okolicy Prawiednik z oddziałem przyprowadzonym przez „Spartanina”. Dowódcą całości zostałem ja, moim z-cą „Spartanin”. Po odwołaniu mnie na stanowisko adiutanta Kom. Obw. Lublin dowódcą został „Spartanin”. Po szeregu sukcesów oddział został rozproszony przez Niemców w pobliżu Nowin Żukowskich. Część pod dowództwem „Zegoty” odeszła do „Szarugi”, który w tym czasie tworzył patrole do podejmowania zrzutów. Po-

zostali weszli w skład tworzonego od nowa oddziału „Spartanina”.

Zadnego również udziału nie miał A. Sarkisow w tworzeniu oddziału „Rysia”. Dowodzony przeze mnie oddział (drug) powstał i rozwinął się z grupy specjalnej Obwodu Lublin, której byłem dowódcą, o czym już niejednokrotnie pisałem. Oddział, początkowo pół-letny, po reorganizacji obwodu Lublin stał się w pełni oddziałem partyzanckim i został podporządkowany Inspektoratowi Lublin. Zawarte w artykule enuncjacje na temat patroli dowodzonych przez „Rysia” i „Nerwę” są oczywiście bzdurą.

Wojciech Rokicki

PS. Jeżeli zna Pan, że moja wypowiedź należy wydrukować bądź przesłać do wiadomości A. Sarkisowowi, proszę bardzo, o tym jednakże, że w całości.

W. R.

# Najwspanialsza podróż świata

Mirosław Derecki



David Niven  
Repr. Robert Lipski

**W**PEWIEN letni wieczór roku 1873 pan Phileas Fogg, nie-młody już angielski gentleman żyjący z „kapitałów własnych”, zajął się podczas partii wista w londyńskim klubie ze swymi partnerami, że uda się natychmiast w podróż dookoła świata i że ukończy ją po osiemdziesięciu dniach. To wyzwanie, rzuczone przestrzeni oraz czasowi, było, nawet jak na zwycięski wiek pary i elektryczności, gdy po szynach dudniły pociągi, po morzach pływały statki bez pomocy wiatru, a w powietrzu wznosiły się zwycięsko balony — czymś wręcz niesłychanym. A jednak nasz bohater, wbrew wielu przeszkodom, jakie czekały go na trasie podróży, zakład wygrał. Dowodząc tym samym, że Technika, której był gorącym wyznawcą, objęła już kulę ziemską w swoje posiadanie. Więcej — pan Phileas Fogg przepowiedział, że stosunkowo niedługo nadejdą takie czasy, kiedy będzie można okrążyć Ziemię nie w osiemdziesiąt, ale w osiem dni!

Dzisiaj, gdy samolot pasażerski typu Concorde przeżywa trasę podróży Phileasa Fogg'a w ciągu niespełna jednej doby (nie mówiąc już o sputnikach, stacjach orbitalnych czy promach kosmicznych), sukces bohatera książki Julesa Verne'a „W 80 dni dookoła świata” — bo o niej tutaj przecież mowa — może w niejednym czytelniku wzbudzić uczucie wesołości. Ale u progu czwartej ćwierci XIX stulecia patrzono na tę sprawę zupełnie inaczej. Książkę Verne'a owo „wizjonera” postępu technicznego, czytano na całym świecie z zapartym tchem. I zresztą jeszcze po dziś dzień cieszy się ona ogromną popularnością (choć bardziej we względzie na doskonałe poprowadzoną fabułę, dramaturgię narracji oraz ładunek humoru), pozostając jedną z najczęściej wydawanych i wznawianych poza granicami ojczyzny Verne'a książek francuskich.

W osiemdziesiąt trzy lata po ukazaniu się we Francji pierwszego wydania „Le Tour du monde en quatre-vingt jours”, w Stanach Zjednoczonych w 1956 r. powstała ekranizacja tej powieści: zrealizowany przez Michaela Andersona film-gigant pt. „Around the World in 80 Days”. Wzbudził on równy, a może nawet większy entuzjazm wśród widzów co książka, według której został nakręcony. Zdobył też uznanie fachowców: otrzymał pięć Oscarów oraz liczącą się Nagrodę Krytyki Nowojorskiej. A potem rozpoczął się jego triumfalny pochód przez sale kinowe całego świata. Działo się to równo trzydzieści lat temu. Rzecz ciekawa — film „W 80 dni dookoła świata” oglądany na ekranie dzisiaj (w Lumine mieliśmy okazję obejrzeć go w ramach przeglądu z cyklu „Wielkie widowiska”, zorganizowanego w drugiej połowie kwietnia przez tułuski Ośrodek Kultury Filmowej OPRF oraz FilMOTEKĘ Polską), otóż film ten blizszy nadal pełnym blaskiem, tak jak nie zastarzała się książka Verne'a sprzed ponad stulecia.

Skąd się bierze fenomen niezachwianej popularności książki oraz świeżości filmu? Może stąd, że zarówno książka, jak i film były — w czasach, gdy powstały — swoistym novum, wybiegającym daleko do przodu w stosunku do istniejących norm artystycznych. Książka Verne'a otwierała nowy rozdział powieści przygodowo-awanturkowej, film Andersona (a właściwie słynnego producenta, Michaela Todda, bo to on był w istocie jego realizatorem) zapoczątkowywał zupełnie nową epokę wielkiego widowiska filmowego.

Julesa Verne nazywamy dzisiaj „ojcem powieści science-fiction”. Żył w epoce wielkich wynalazków, fascynował się od-

kryciami naukowymi, technicznymi, ale także geograficznymi, przyrodniczymi i etnograficznymi, a na kartach swoich książek przedstawiał świat, który... musiał z owych odkryć „wyniknąć”. Urodził się w 1828 r. w Nantes w czasach, gdy podróżowało się jeszcze własną bryką lub konnym dyliżansem, umarł w niespełna osiemdziesiąt lat później, gdy rozpoczynała się era lotnictwa, pierwszy etap zrealizowanego przez ludzi w 1969 r. lotu na Księżyc. Tego lotu, który Verne uczynił głównym „bohaterem” swej książki „De la Terre à la Lune”, powstałej w 1865 r.

Pierwszą książką Julesa Verne z gatunku „fantastycznych” była „Pięćtygodniowa podróż balonem nad Afrykę”. Wtedy to wydawca Hetzel, zachwycony przedstawionym mu dziełem, podpisał w 1863 r. z młodym autorem kontrakt na napisanie czterdziestu książek podobnego rodzaju. Tak zaczęły powstawać — przeważnie w rocznych odstępach albo i jeszcze częściej — powieści takie, jak „Podróż do środka Ziemi” (1864), „Podróż na Księżyc” (1865), „Dzieci kapitana Granta” (1867), „20 000 mil podmorskiej żeglugi” (1870), „W 80 dni dookoła świata” (1873), „Tajemnicza wyspa” (1874), „Piętnastoletni kapitan” (1878)... Większość z nich ukazywała się najpierw „w odcinku” w magazynie dla młodzieży „Le Musée des Familles”, potem dopiero wychodziła w wydaniu książkowym. Błyskawicznie ukazywały się też te książki w innych krajach. W Polsce niektóre z nich wychodziły w przekładzie nieraz już w rok lub dwa po wydaniu oryginalnym, francuskim.

„W 80 dni dookoła świata” z 1873 r. została przełożona i wydana w Polsce już na przełomie roku 1873 i 74! Trudno się zresztą dziwić. Wszak szczególnie ta książka była powieścią sui generis „uniwersalną”, dla czytelników od siedmiu do siedemdziesięciu lat. Książka „famiłijna”, tak jak dzisiaj święcąca (szczególnie na ekranie telewizyjnym) sukcesy „film famiłijny”. Był tu wątek podróżniczy, geograficzny, czysto przygodowy — dla najmłodszych, ale także wątek miłosny (Phileas Fogg i piękna księżna Aouda uratowana przez niego z rak okrutnych Thugów, czcicielki bogini Kali) — dla dorastających panienek oraz ich matek; a także wątek sensacyjny, kryminalny (zaciekle pogoń za panem Foggiem inspektora Fixa ze Scotland Yardu, który podejrzewał w nim słynnego przestępcę uciekającego przed wymiarem sprawiedliwości) — dla mężczyzn. Te „famiłijność”, czyli atrakcyjność książki dla obojga płci i każdej grupy wiekowej czytelników Verne'a, potrafił w wiele lat później dostrzec Mike Todd.

Film Mike Todda — jak powiedziano — zapoczątkowywał epokę nowoczesnego wielkiego widowiska filmowego. Potrzebne były do tego ogromne kapitały, i Todd je posiadał. Potrzebny był idealnie do takiego zamierzenia przystający scenariusz, i Todd dojrzał go w mieniącej się panoramą przygód, podróży, kolejnych ładów oraz wspaniałych krajobrazów powieści znanej na całym świecie. Potrzeba było nowej techniki filmowej, i technika taka się znalazła. Wreszcie potrzeba było w filmie parady najwybitniejszych gwiazd światowego kina... I Mike Todd dokonał rzeczy niesłychanej. Jak pan Phileas Fogg objechał niegdyś świat „wbrew logice” w osiemdziesiąt dni, tak on zrealizował zamiar niewiarygodny: sklonił 43 międzynarodowe gwiazdy filmowe do udziału w jego filmie w rolach... epizodycznych.

„W 80 dni dookoła świata” w zamysle Todda miał być nie tylko wspaniałą filmową podróżą przez kraje i kontynenty, ukazwaną w sposób najbardziej atrakcyjny, malowniczy, ale także wielkim amerykańskim show, gigantyczną rewelacją filmową z udziałem najjaśniejszych gwiazd aktorskich, występujących jako „to” dla trójki głównych bohaterów: Phileasa Fogg'a, jego służącego Passepartout oraz hinduskiej (lecz wykształconej w Anglii) księżnej Aoudy. Miało to być wreszcie gigantyczne, wspólne „zdjęcie grupowe”, uwieczniające najwybitniejsze współcześnie gwiazdy kina; i to może najbardziej przekonało wybitnych aktorów. Wielki Fernandel zgodził się zagrać epizodyczną rolę woźnicy francuskiego fiakra, Charles Boyer — urzędnika w biurze Cooka, Marlena Dietrich — rolę właścicielki restauracji w Stanach Zjednoczonych, słynny komik filmu niemiego Buster Keaton — amerykańskiego konduktora kolejowego, Frank Sinatra — pianistę w amerykańskiej restauracji, John Gielgud — dawnego lokaja Phileasa Fogg'a itd. itd.

Film zrealizowany został w specjalnej szerokoekranowej technice Todd — AO, na taśmie szerokości 70 mm; technika ta była jeszcze bardzo mało znana, więc realizowano także zdjęcia na „kasetowanej” standardowej taśmie 35 mm; później, dzięki odpowiedniej „przystawce” do projektora kinowego, można było obraz „rozszerzyć” do panoramicznego wymiaru. Scenariusz napisali doskonale fachmani — James Poe, John Farrow i S. J. Perelman; muzykę — Victor Young (to jego dziełem był słynny motyw muzyczny filmu, walc angielski, który stał się następnie przebojem z repertuaru Engelberta Humperdincka). Kierownictwo zdjęć powierzył Todd operatorowi Lionelowi Lindenowi, zaś reżyserię filmu — angielskiemu reżyserowi pracującemu w Stanach Zjednoczonych, Michaelowi Andersonowi.

Anderson był twórcą sprawnym, ale nie wybitnym. Reżyserką karierę zaczynał w Wielkiej Brytanii, m.in. współpracował przy głośnym filmie wojennym Cowarda i Leana „Nasz okręt”. W Polsce pamiętamy go z filmów „Wrak Mary Deary” (1956) czy „Nagle ostrze” (1961). Mike Todd wybrał Andersona z pełną świadomością: chodziło mu o zdolnego fachowca, który podda się w pełni jego własnym sugestiom, będzie realizował na ekranie pomysły reżyserskie Todda. Tak się też stało. Dlatego właściwym twórcą „Around the Worlds in 80 Days” jest Mike Todd, choć w filmowej czołówce jego nazwisko figuruje tylko jako producenta: „Michael Todd Company”.

Film Andersona-Todda był długi: prawie 5 tys. metrów; tyle ile dwa normalne (a nawet nieco więcej) filmy fabularne. Lecz dzięki żywo poprowadzonej fabule, wspaniałym zdjęciom w technicolorze, dynamicznemu montażowi, no i doskonałemu aktorstwu, oglądało się go (i po dziś dzień ogląda) nie licząc czasu, „z zapartym tchem”.

Jedną z pierwszoplanowych ról, księżnej Aoudy, powierzył Mike Todd właściwie debutantce, aktorce musicalowej, dwudziestodwuletniej Shirley MacLaine, która zadebiutowała przed rokiem w filmie Alfreda Hitchcocka „Kłopoty z Harrym” i grała dotąd w jednym jeszcze zaledwie filmie: „Artists and Models”. Todd dostrzegł natychmiast niezwykły urok, ciepło i spokojny seks, emanujący z tej młodej dziewczyny, która miała już w następnych latach stać się jedną z najbardziej znanych i lubianych aktorek amerykańskiej komedii. W postać Passepartout, wszędobylskiego, pomysłowego, komicznego, ale i bohaterskiego, gdy trzeba, służącego Phileasa Fogg'a, wcielił się niezwykle popularny (u

nas prawie nieznanymi) meksykański komik Mario Moreno — bożyszcze Ameryki Łacińskiej, dorównujący tam sławą Chaplinowi — występujący pod pseudonimem Cantinflas. Natomiast rolę główną, „trzymającą” cały film, rolę angielskiego gentlemana-podróżnika, zabawnego nieco w swej „syntetycznej” angielskości (z jakiej zawsze pokpiwali sobie Francuzi, z Verne'm włącznie), flegmatycznego i drobiazgowego, lecz nie pozbawionego przy tym życia i wdzięku — Phileasa Fogg'a — tę rolę objął David Niven.

Niven spełniał idealnie wszystkie warunki wymagane od postaci Phileasa Fogg'a. Ow szczerzy, wysoki mężczyzna o nieco ascetycznym uśmiechu (nie pozbawionym jednak iskierki zdrowego szaleństwa), człowiek o „nienagannyh manierach”, których zabawność nie przekroczyła przecież nigdy granicy śmieszności, stworzył w filmie typ postaci, która później niejednokrotnie mieliśmy oglądać i podziwiać w jego następnych rolach. M.in. w „Mózgu” Gerarda Oury, gdzie grał u boku słynnego francuskiego komika Bourvillia.

Zyciorys Davida Nivena był równie barwny jak postacie, które ze swoim powściągliwym humorem odtwarzał w licznych filmach. Urodzony w 1910 r. w Szkocji, był synem zawodowego wojskowego, i sam, mając 19 lat, służył już ochotniczo w wojsku brytyjskim w garnizonie w Malcie. Ale nie wytrzymał zbyt długo w mundurze. Wyjechał do Kanady, i tam został dziennikarzem. To — jak się okazało — również nie było dla niego. Po kilku latach pisenia do gazet zdecydował się wreszcie na zawód aktora. Jego debiut to rola w jednym z filmów Howarda Hawksa. W 1939 r. gra w „Wichrowych wzgórzach” Williama Wyllera, wg. znanej powieści Emily Brontë, u boku Laurence Oliviera i Marie Oberon. W czasie II wojny światowej Niven zaciąga się do armii brytyjskiej. Wstępuje do oddziałów komandosów, gdzie dosłuży się z czasem stopnia pułkownika. W 1946 r. zyskuje sławę dzięki roli w filmie „Sprawa życia i śmierci” Michaela Powella i Emerica Presburgera; gra tam młodego lotnika z czasów wojny. W 1953 r. odznacza się rolą w „Niebieskim księżycu” Otto Premingera. W 1956 r. kreuje postać Phileasa Fogg'a. I tą rolą zapadnie na zawsze w pamięć światowej publiczności.

Umarł David Niven trzy lata temu w Szwajcarii, gdzie się u schyłku swoich lat osiedlił. Jules Verne zmarł w roku 1905. Zginął w wypadku samolotowym orzed z górą czterech wiekami Mike Todd. Żywy wciąż jest jednak świat wyobraźni Verne'a i świat marzeń Mike Todda. Żywa pozostała książka i żywy po dziś dzień jest film. Choć czytelnicy są już inni i inna też zupełnie publiczność w ciemnościach kinowej sali udaje się kolejną raz w historię kina, w najwspanialszą podróż świata.

## Strażacy to mężczyźni szybcy i pospieszni

**R**USZAJA w Polskę wycieczki szkolne. Nauczyciele i opiekunowie dusz z przewodnikami wszystkim, by ten opowiadał i pokazał w mieście, muzeum, ciekawej miejscowości i obiektach

jak najczęściej. Młodociani turyści w adidasa opychają się natomiast lodami, niemymi czerechianami i oranżadą do rozpuszku, wydajają zute „donaldy” na dobra kultury, krajobraz i dziedzictwo dziejów. Potem pisa wypracowania Co wiem — na przykład — o strażakach? A co zapamiętałem ze swiedzenia renizy straży pożarnej. Wtujemy za prasa codzienna:

— Strażacy pracują z poświęceniem, sa-

rażając się na własne życie, żeby uratować

— Oni czuwają w dzień i w nocy, a nawet wtedy, kiedy deszcz pada. Oni służą ojczyźnie i uczą swych przodków, jak bardzo stawać do ognia.

— Strażacy muszą sikać w lewo i w prawo, do góry i na dół, są to naprawdę mężczyźni szybcy i pospieszni.

— Jeżdżą szybko, wydając różne dźwięki.

— Strażak ma siekierę za pasem, bo jak się pali, a w domu jest jakieś dziecko, to widać strażaka.

— Ze sprzętu strażackiego najbardziej podobają mi się wytłoczone do otwierania

— Zwiedziłam także dużą beczkę z wodą, drabiny i cały ubiór strażacki.

— Maski są potrzebne, bo jeżeli mają gaz, to je zakładają.

— Jeżeli jakieś dziecko puścił gaz, a chętno by je uratować, potrzebne są maski, bo mogłoby się zatruć.

— Strażacy spodnie mają podgonowane, żeby nie przemiełło i nie zalało nóg.

— Strażacy śpią w kalesonach i mają tam dzwonek alarmowe.

— Jak będę starsza i poznam lepiej życie i strażaków, to więcej na ten temat opowiem.

Ciekawo, jakie wystawiono tym

10m stopnie?

(dey)

# Czarny geniusz

**B**URZLIWY rozwój muzyki rozrywkowej nie byłby możliwy bez udziału czarnych wykonawców amerykańskich. Wszak rock and roll, którego szaleństwo opanowało w latach pięćdziesiątych Wielką Brytanię, a następnie inne kraje europejskie, był niczym innym, jak uproszczoną formą rytm and bluesa, a więc muzyki stworzonej i wykonywanej przez ciemnoskórych artystów. W Stanach Zjednoczonych, kolebce bluesa, przez wiele lat Murzyni natrafiali na ostre bariery rasowe, skutecznie uniemożliwiające im uznanie w kręgach białych odbiorców. Muzykę czarnych mieszkańców USA klasyfikowano dość wulgarnie jako „muzykę dżungli” i nawet najwybitniejsi wykonawcy, jak Chuck Berry, Little Richard, Fats Domino czy Ray Charles, zmuszeni byli ograniczać swe występy jedynie do bliskich im etnicznie pobratymców.

Dopiero lata siedemdziesiąte przyniosły zasadnicze zmiany w tej drażliwej kwestii, kiedy biała publiczność zaakceptowała (choćby za sprawą Elvise Presleya) dynamiczny, określany kiedyś jako dziki, sposób interpretacji utworów. Do głosu doszedł wówczas rytm and blues i soul, uważany za muzykę duszy. Pozycja tej muzyki rosła w oszałamiającym tempie, a przyczyniali się do tego Ike and Tina Turner, Supremes, Temptations, Marvin Gaye, Billy Preston i Stevie Wonder. Zwłaszcza zaś ten ostatni, który w przeciągu dwudziestu kilku lat pobytu na muzycznej scenie zajął Amerykę i resztę świata, stał się super gwiazdą, zdobywając jednocześnie niebywale powodzenie i ogromną fortunę.

Długo Stevie Wonder uważany jest po prostu za młodego geniusza. Zaskakująco on bowiem nie tylko urzekającym głosem, ale także nieswobodną mową, bogactwem pomysłów aranżacyjnych, wreszcie talentem kompozytorskim. Mimo swej ślepoty jest też genialnym wprost instrumentalistą. Z szaloną wirtuozerią gra na wszystkich instrumentach klawiszowych, na perkusji i harmonijce ustnej. O współpracy Wondera przy realizacji własnych nagrań sądzą dziś największe sławy jazzu i rocka, sami też chętnie biorą udział w jego sesjach. Dość powiedzieć, że grał z nim już Eric Clapton, Jeff Beck, Steven Stills, Herbie Hancock, George Benson, Larry Coryell i Paul McCartney, nie wspominając o całej galerii gwiazd wytwórni Tamla Motown. I pomysł, iż fascynujący teraz wszystkich talent niewidomego śpiewaka został odkryty właściwie przez przypadek!

Stevie Wonder (prawdziwe nazwisko: Stephen Judkins) urodził się 13 maja 1950 roku w Saginaw (stan Michigan) jako trzecie dziecko ubogiej murzyńskiej rodziny. W kilka lat później przeniósł się wraz z rodziną do Detroit, miasta będącego siedzibą słynnej już wtedy murzyńskiej wytwórni płytowej Tamla Motown. Już jako dziecko ujawniał nieprzeciętną muzykalność, co, niestety, mogło spotkać się jedynie z pobłażaniem najbliższego, słusznego przecież otoczenia. Mając dziewięć lat, zasiadł Stevie po raz pierwszy do mocno nadzarniętego zębem czasu pianina sąsiadki i ćwiczył na nim z taką pasją, że kobieta, zachwycona talentem chłopca, pozostawiła mu instrument na własność. Przed niewidomym chłopcem utworzył się nowy wspaniały świat dźwięków. Potrafił godzinami grać na pianinie i organkach, pośpiewując przy tym zasłynane piosenki Raya Charlesa.

W jednej z takich prób uczestniczył zupełnie przypadkowo Ronnie White, członek popularnej grupy murzyńskiej The Miracles. On zaprowadził malca do szefa firmy Tamla — Berry'ego Gordy'ego. Ten po wysłuchaniu możliwości Steviego zapalił się do pomysłu uczynienia z niego młodszej wersji Raya Charlesa. W ten sposób Little Stevie (bo taki odtąd nosił pseudonim) dostał się w tryby maszyny zwanej show businessem. Dziś wiemy doskonale, że Gordy'emu nie tyle chodziło o rozwijający się talent chłopca, ile o atrakcyjny towar eksportowy firmy,

na którym przy odpowiedniej reklamie można było zrobić kokosowy interes.

W pierwszych nagraniach płytowych melodię prowadził przeważnie chór towarzyszący soliście, zaś Stevie pokrzykiwał niekiedy do mikrofonu, odpowiadał chórowi między wersetami i grał na harmonijce. Dopiero trzecia duża płyta „Fingertips” („Opuszki palców”) stała się początkiem wielkiej sławy, zdobywając wysokie pozycje na amerykańskich listach bestsellerów. Następnymi wielkimi przebojami — „Work out Stevie work out”, „Uptight”, „A place in the Sun”, „Was made to love her”, „For once in my life”, „My Cherie Amour” i „Yester-Me, yester-You, Yesterday” — przyniosły mu popularność także w Europie, albo — jak jeden z pierwszych wykonawców murzyńskich odwiedził w 1965 roku Wielką Brytanię i Francję. W paryskiej „Olimpii” koncertował nawet z naszymi Niebiesko — Czarnymi. Stevie sporo wtedy nagrywał, koncertował, występował przed kamerami telewizji. Podróżował po świecie, reklamowany w dalszym ciągu jako cudowne dziecko wytwórni Tamla Motown. Jego piosenki były zgrabne, chwytliwe, ale w gruncie rzeczy tuzinkowe.



Stevie Wonder — USA

Stevie Wonder

Dopiero w 1971 roku, wchodząc w wiek dojrzały, Stevie Wonder postanowił wyzwolić się spod artystycznej kurateli i zmienić wyraźnie styl wykonywanej muzyki. Z ułatwionej, zdecydowanie rozrywkowej stała się ona bardziej ambitna i skomplikowana w tkance rytmicznej. Luźny kontrakt z Tamla pozwolił piosenkarzowi zdecydować o stylu nagrywanych przez siebie piosenek. Do głosu doszła wtedy, miast przesadnej słodyczy, dynamika, zacepność, złożona faktura harmoniczna i wielka dbałość o każdą frazę. Nagrany w 1971 roku pod znanym tytułem „Where I'm Coming From” („Skąd przychodzę”) album pokazywał przemianę wokalisty i torował drogę mało wtedy jeszcze eksploatowanej elektronice. Już wtedy bowiem pochłaniały Steviego eksperymenty z syntezatorami. Następną, wydaną rok później ułtą „Music Of My Mind” („Muzyka mojego sumienia”) przypieczętował ostatecznie swój triumf samodzielnego solisty i wrażliwego kompozytora. Longplay gościł na liście szlagierów płytowych aż 45 tygodni, zdobył kilka laurów Złotych Płyt, otrzymał wyróżnienie Albumu Roku w kilku fachowych pismach, zaś jego twórcę uznano zdecydowanie „Najlepszym Wokalistą Pop, Rocka i Bluesa”.

Stevie, w przeciwieństwie do większości ciemnoskórych piosenkarzy, nie ograniczał się do soul, choć z niego właściwie się wywiódł. Śpiewa także ballady, pieśni gospelskie, utwory na poty jazzowe, a przede wszystkim muzykę rockową, w której czuje się chyba najlepiej. Trzeba przy tym zauważyć, iż wszystkie piosenki pisze samodzielnie, sam też je aranżuje, gra i śpiewa, co, biorąc pod uwagę wrodzoną ułomność, jest chyba sztuką bez precedensu. Ale to nie wszystko. Wonder znany jest także jako wzięty kompozytor i producent nagrań innych wykonawców. Spore grono piosenkarzy nagrywających dla Tamla — jak choćby Syreeta Wright (prywatnie: żona Wondera), Bobby Womack, Billy Preston, Jimmy Ruffin, Edwin Starr, Martha and the Vandellas, Pinter Slaters czy Gladys Knight and the Pips — właśnie Wonderowi zawdzięczają wysoką pozycję w świecie muzyki estradowej.

Niespokojny talent artysty osiągnął szczytową pozycję w wydanym w połowie 1976 roku, dwuwoluminowym albumie „Songs In The Key Of Life” („Piosenki w tonacji życia”). Od chwili

ukazania się na rynku album cieszył się niesłabnącym powodzeniem, znajdując się w czołówce najbardziej cenionych i poszukiwanych płyt świata. Wielokrotnie porównywano go z nieśmiertelnymi wydawnictwami Beatlesów. Przy jego nagrywaniu, trwającym z górą dwa lata, wspomagało Wondera, bagatelka, 70 muzyków, którzy wzięli udział w nagrywaniu podkładów wokalnych (chórków). Płyta z 26 wielkimi szlagierami zaskakiwała różnorodnością brzmienia, plastyką i bogactwem pomysłów instrumentacyjnych. Brzmienie, jakie udało się twórcom uzyskać, śmiało można nazwać szczytowym osiągnięciem muzyki rockowej, zabarwionej celnie potężną dawką dostępnej chyba tylko Murzyńcom ekspresji i fantazji. W takich nagraniach, jak „Sir Duke”, „As”, „Ebony Eyes” czy rewelacyjnym „Another Star”, jawi się Wonder nie tylko jako pomysłodawca kompozytora, ale i wybitny interpretator czarnej muzyki, stanowiącej fuzję elektroniki, liryzmu i drapieżności soul.

Płyta z „Piosenkami w tonacji życia” jest największym dotychczasowym osiągnięciem kompozytora. Następne nagrania nie dorównywały jej fantazją, poletem i urodą melodyki. W pięć lat później człowiek-orkiestra, jak

zwykło się od pewnego czasu nazywać Wondera, wydał album „Hotter Than July”, z którego jedynie piosenka „Master Blaster” dotarła do dyskotek i wysokich pozycji na listach przebojów. Jeszcze większym zaskoczeniem był podwójny album „Original Musiquarium I”, zawierający nowe wersje szlagierów z lat wcześniejszych. I choć tu i ówdzie powleczone go złotem, talent wykonawczy Wondera nie błyszczał równie mocno, co przed laty. Znałe piosenki nie porwały jak kiedyś sympatyków czarnego geniusza.

Przedłużony kontrakt z Tamla Motown (opiewający na zawrotną sumę 13 milionów dolarów) pozwolił Steviemu na tworzenie muzyki, która niekoniecznie musiała zniewalać tłumy fanów. Ważne, że dawała satysfakcję samemu twórcy, zaspokajała jego ambicje. Tak było z filmową płytą „Secret Life Of The Plants” („Tajemnicze życie roślin”), a po kilku latach milczenia z podobnym soundtrackiem z filmu „Woman In Red” („Kobieta w czerwieni”). Ten ostatni krążek przyniósł wielki światowy hit Wondera „Zadzwoniłem, aby ci powiedzieć, że cię kocham”, porównywalny rzeczą melodią chyba tylko z „My Cherie Amour” czy „Yester-Me, Yester-You, Yesterday”. Dzięki chwytliwej muzyce kompozytor zdobył Oscara i poprawił wyraźnie, i tak imponujące, konto bankowe. Poczuł się przy tym tak pewnie, że nagrał płytę — niewypał, określaną największym rozczarowaniem w karierze tego artysty. Niestety, na krążku „In Square Circle” niewiele można usłyszeć ciekawych utworów, takich, które by oszalały i porwały słuchacza. Nie wiem, czemu należy to przypisać. Nie sądzę bowiem, aby ociepniały muzyk znalazł się w depresyjnym punkcie trwającej ponad 20 lat estradowej przygody. Wielu znawców uważa, iż możemy liczyć jeszcze na bardziej intensywny deszcz szlagierów Stevie Wondera, które przewyższyć mogą sławę „I Just Called To Say I Love You”. Kto wie, czy nie — mają racji.

Istvan Grabowski

## Co nowego?

Dokończenie ze str. 3

— A co nas czeka w drugiej połowie roku?

— Drugie półrocze rysuje się znacznie atrakcyjniej. Po pierwsze — amerykańska „Purpurowa róża z Kairu” Woody'ego Allena, reżysera, którego chyba nie musimy przedstawiać. Po drugie — również produkcji USA — „Jedziec stamtąd” Clint Eastwooda; cieszący się olbrzymim powodzeniem, nagrodzony w Cannes film świadczący o odradzaniu się westernu. Wprowadzimy także, zakupiony dla kin, słynny „Most na rzecze Kwai”, na który polska publiczność czekała przez wiele lat. Wreszcie — cała plejada innych doskonałych filmów z tzw. drugiego obszaru płatniczego, uhonorowanych licznymi nagrodami. Ale ich tytułów nie mogę dziś jeszcze zdradzić. No a poza tym szereg kolejnych polskich premier. Tradycyjnie — na jesieni — przegląd najnowszych osiągnięć kina radzieckiego. Będziemy też kontynuowali przeglądy filmowe organizowane przez nasz Ośrodek Kultury Filmowej wraz z Filmoteką Polską

— Podobno otwieracie wkrótce wypoczynialnie kaset magnetowidowych i filmów fabularnych?

— Tak. Na przełomie maja i czerwca. Dysponujemy zestawem czterdziestu filmów fabularnych. Na razie. Zastępstwo naszą inicjatywą to „kino rodzinne”. W kinie „Wyzwolenie” przygotowaliśmy na pierwszym piętrze salkę na 50-80 osób, wyposażoną w aparaturę magnetowidową. Będą w niej prezentowane na ekranie telewizora filmy dla dzieci, których rodzice w tym samym czasie oglądają w głównej sali normalny film, przeznaczony dla dorosłych. Albo na odwrót: film z magnetowidów dla rodziców, którzy przyprowadzili dzieci np. na „Przygody pana Kleksa”, wyświetlane w sali kinowej na szorokim ekranie. W ten sposób, przynajmniej częściowo, zostanie rozwiązany problem rodziców, którzy nie mogą wybrać się do kina, bo nie mają z kim zostawić w domu dzieci... Prowadzeniem „kina rodzinnego” będzie się zajmowała miejscowa komórka naszego związku zawodowego.

Rozmawiał: M. D.

## Pocztą literacką

Piotr P. Lublin. Autorskie zamiary, to widać, są ambitne. Pragnie Pan ukazać wszystko, co Pana otacza: krewnych, młodość, starość, kraj i cały glob. Niektórym poetom to się udało, ale mieli oni o tym o czym pisać, naprawdę coś nowego do powiedzenia. Pan zbiera w każdym z utworów obiegowe sądy i je podaje do ponownej wiadomości, w dodatku nieporadnie. Może Pan zaniechać dalszych prób, nie znalazłem bowiem nawet jednej linijki, która usprawiedliwiłaby zachęty.

Marek Ch. Kraków. W wierszu „Bo albo się jest, albo mija się siebie” zastanawia się Pan:

gdybym o wiele mniej pisał  
to może byłbym lepszym poetą

Ma Pan słuszność, potwierdza to także jakość wcześniejszych korespondencji od Pana. Otóż sądzę, iż podchodził Pan dotąd do swej twórczości niefrasobliwie. Co myśli podpowie, papier natychmiast musi przyjąć. Zresztą, nie w tym główny problem. Przede wszystkim raz brak pracy nad tekstem, nie widać śladów powrotów do zbyt lekko sformułowanych wersów. Wkracza do nich zbytnia, potoczność języka. A szkoda, bo jednak próbki, które Pan nadesłał miejscami zaskakują, znamionuje je otwartość i biologizm. Ten ostatni nawet Pan pracuje i po jakimś czasie znowu coś przysła.

Isabella M. Opatów. Dwa z nadesłanych wierszy podobają się i, być może, stana się Pani debiutem. Zaczynają się one od słów: „Za wcześniej ludzie pozamykali okna” oraz „Nie dźw się mejemu krzykowi”. Pozostałe są także interesujące, ale mniej dopracowane.

T. J.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunta Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Maria Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wojcik, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-16. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 253-23. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie. Adres redakcji: 20-023 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1. Wydział publicystyki i literacki 275-35. Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-93, sekretarz redakcji 210-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-050 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

# Syn zabił ojca...

**B**YL początek listopada. Andrzej G. miał wolny dzień. Od samego rana pomagał znajomemu przy wyrzucaniu obornika. Przystuga miała charakter koleżeński. Do obiadu wypił trochę wódki. Pracował do wieczora. Około 20.00. po zjedzeniu „zakrapianej” kolacji poprosił o worek słomy dla królików i wyszedł. Marianna G., jego żona, jeździła tego dnia do Warszawy. Zaopatrzenie w stolicy bywa, naturalną kolejną rzeczą, lepsze. Niegdyś trudniła się zresztą handlem. Miała nawet wyrok za spekulację. Choć uniknęła aresztu, grzywna była wysoka. Wiodło im się jednak dobrze; mieli nowy dom i wartburga.

Marek G., ich 19-letni syn, tego dnia od rana czuł się źle. Bolało go gardło. Nie poszedł do szkoły. Pojechał tylko do miasta, aby spotkać się z kolegami i odpisać zadane lekcje. Wczesnym popołudniem wrócił do domu.

Marianna G. odwiedziła po powrocie znajomą. Przegadały prawie godzinę przy kawie. W domu czekała na nią przyjaciółka Ewa. Wpuścił ją Marek. Często ich odwiedzała. Nastawił jej telewizor. Sam poszedł do siebie, aby pogadać z kolegą.

Około 20.00 wróciła Marianna. Marek leżał już w łóżku. Słyszał głosy rozmawiających kobiet. Potem nastawił radio.

Kiedy Ewa z zbierała się do wyjścia, w drzwiach stanął Andrzej. Uśmiechnął się do niej, ale nie wszedł do domu. Słyszały, jak idzie do piwnicy. Nawet przez tę krótką chwilę zdążyły zauważyć, że pił. „Poznałam to po jego twarzy” — powiedziała potem Ewa.

— Nie mogłeś się już więcej napić! — przywitała męża Marianna, gdy ten wszedł do domu.

Byli małżeństwem od dwudziestu lat. Niespecjalnie im się układało, ale w wielu rodzinach bywało gorzej. Marianna mówi, że już na weselu Andrzej zerwał jej po pijanemu welon z głowy i rozpedził biadającą młodzież. Jego krewni incydentu tego nie pamiętają. Od tej pory mąż często ją bijał. Zawsze po wódce. Raz interwenio-

wała nawet milicja. Przy szczególnym nasileniu awantur myślała o samobójstwie. Była chora. Miewała zawroty głowy. Lekarze stwierdzili stan depresyjny. Kiedy nie pił, Andrzej miał opinię łagodnego i spokojnego człowieka.

Marianna, bojąc się kolejnej awantury, szybko się rozebrała i poszła do pokoju syna. Przysiadła na wersalce. Po chwili do pokoju wszedł mąż.

— Nie ma sypialni! — wykrzyknął. — Dziś was wszystkich zarabię!

Marianna wstała i zaczęła go wypychać z pokoju. „Robiła to bardzo delikatnie” — powiedział potem Marek. Kiedy mąż znalazł się za drzwiami, znów przysiadła obok syna. Już nie spał. Wtedy na dywan posypały się okruchy szkła. Andrzej rzucił twardym pufem w oszklone drzwi. Marek poderwał się z łóżka. Kiedy wszedł do pokoju ojca, ten leżał już na poscieli rozebrany do kąpielówek.

— Idę na milicję — powiedział Marek.

Andrzej milczał.

Wtedy pojawiła się Marianna. Krzyknęła na niego, że marnuje ich wspólne dobro. Andrzej zerwał się i podbiegł do niej. Kazała Markowi uciekać, a sama zaczęła szamotać się z mężem. Marek wybiegł na podwórko. Chciał wyprowadzić samochód z garażu. Ale garaż był zamknięty. Szarpał więc skobel, licząc na to, że wyrwie zamek. Potem pobiegł, by otworzyć najpierw główną bramę, a następnie znów pod garaż. Słyszał krzyk matki „Ratuj, bo zadusi!” Zobaczył, jak ojciec przyciska matkę frontowymi drzwiami do zewnętrznej ściany kuchni, potem chwytając ją jedną ręką za gardło, a drugą bije po głowie. Marek podbiegł do ojca i zaczął okładać go pięściami, kopać po nogach. Andrzej odepchnął Marka mocno i chwycił znów Mariannę za gardło. Zaczął ją dusić. Tym razem mocniej. Rzęziła. Wtedy chłopak przypomniał sobie długą metalową rurkę leżącą w stercie gruzu pod garażem. Pochwycił ją. Marianna nie miała już siły krzyczeć. Marek doskoczył do ojca i uderzył go rurką w głowę. „Chciałem trafić w plecy — powie w śledztwie. — Chciałem tylko, żeby

puścił matkę. Uderzyłem go jeden raz”. Potem przyzna, że mógł uderzyć powtórnie. Andrzej upadł na betonową werandę. Wokół głowy rosła szybko czerwona plama. Marianna, patrząc przerażona na męża, kazała Markowi, by biegł do sąsiadów wezwał pogotowie. Marek rozbito serce. Nie był w stanie się ruszyć. Odrzucił tylko rurkę na dawne miejsce. Był bardzo blady i kręciło mu się w głowie. Andrzej jęczał cicho. Marianna sama obudziła sąsiadów. Pobiegli do innego domu, gdzie był telefon. Marek wolno wyszedł za bramę. Nie pamięta, co działo się z nim od tej chwili, aż do przyjazdu milicji. Sąsiadka poczęstowała go herbatą. W oczekiwaniu na lekarza Marianna powróciła do domu, omijając leżącego męża. Zaczęła się ubierać. Była przecież tylko w nocnej koszuli. Kiedy przyjechała karetka, Marianna krzychała: „Nie wnoście go do domu! Wszystko mi pobrudzi! Niech pan go zbada w garażu! Zapłaciłam mu za dwadzieścia lat!” To skierowało śledztwo w niewłaściwym kierunku. Andrzej jęczał cicho. Lekarz był oburzony. Kiedy z sanitariuszem unieśli koc z ciałem, ustąpiła akcja serca. Andrzej G. nie żył. Zabiegi reanimacyjne nie dały efektu.

Zwykła pijacka awantura, w małym pogranicznym miasteczku przerodziła się w tragedię o antycznej dramaturgii. Drobnym, rodzinny incydent obrósł niespodziewanie szekspirowskim scenariuszem. Syn zabił ojca, by ratować matkę. Syn zabił ojca...

Po szczegółowym rozpatrzeniu okoliczności sprawy Sąd Wojewódzki w Lublinie na sesji wyjazdowej w Białej Podlaskiej uniewinnił Marka G., stwierdzając, iż działał on w obronie zagrożonego zdrowia, a nawet życia Marianny G. Niemałe znaczenie miał tu także fakt chęci udzielenia poszkodowanemu natychmiastowej pomocy.

Przed ogłoszeniem wyroku Marek G. powiedział: „Nie ma już ojca i nic nie może mi go zwrócić. To dla mnie największa kara”. W miasteczku czekała nań jeszcze inna. Marek G. powrócił do domu. Marianna G. już wcześniej zmyła z tarasu zakrzepłe plamy krwi. Miasteczko wciąż jeszcze z daleka omija ładną posesję przy wąskiej uliczce. Miasteczko zna własną sprawiedliwość.

Henryk Więclawski

## Archiwum mistrzów anegdoty

Pytano raz Crebillona, dramaturga współczesnego Racine'a i Corneille'a, dlaczego pisze tak tragiczne rzeczy?

— Nie mam innego wyboru — odpowiedział. — Corneille zabrał mi niebo, Racine ziemię, mnie już tylko piekło zostało.

Znany pisarz węgierski, Franciszek Molnar, został uhonorowany w Paryżu Legią Honorową. Udał się więc do sklepu celem nabycia osławionej tostażeczki. Z nieśmiałą miną zwrócił się do kupca:

— Chciałbym kupić wstażeczkę Legii Honorowej...  
Na co kupiec:  
— Ile metrów pan rozkaże?!

A. Tołstoj, wielki pisarz i myśliciel z Ja-

mej Polany, nie był przesądny, a nawet często kpil z wszelkich zabobonów. Nie wahał się np. nigdy zasiadać przy stole jako trzynasty, chociaż w Rosji w tym czasie przesąd związany z tą liczbą był wielce zakorzeniony. Jednak istniał u Tołstoja pewien wyjątek — mianowicie magiczna liczba 28. Pisarz twierdził, że miała ona dziwny wpływ na jego życie. Istotnie, urodził się 28 sierpnia (według starogreckiego kalendarza), pierwsze jego dzieło ukazało się dnia 28, zaś pierwszy syn również urodził się pod datą 28. Dzień, w którym musiał opuścić ognisko domowe w Jasnej Polanie, aby iść naprzeciw śmierci do małej stacji kolejowej w Asztapowo, był 28 dniem miesiąca.

Słynny podróżnik Fryderyk Humboldt, bawiący swego czasu w Paryżu, wyraził

co wobec swego lekarza Blanche zje-  
dłszy obiadu w towarzystwie wariatów. Le-  
karz życzenia to spełnił. Przy stole zasiadło  
dwóch nieznanymi Humboldtowi biesiadni-  
ków. Jeden o zimnym wzroście i lysiej  
głowie jadł i pił, nie mówiąc ani słowa.  
Drugi natomiast, ubrany w zniszczone  
odzień, bez przerwy opowiadał różne  
przedziwne historie. Po deserze Humboldt  
zwrócił się do lekarza:

— Dziękuję, pański wariat ubawił mnie niesamowicie.

— Jak to, przecież on się zupełnie nie odzywał. — Ten, który tyle mówił, nie jest wcale wariatem.

— A kimże jest do diabła?

— Pan go nie zna? To Honoriusz Balzac.

Bernard Fontenelle, sławny pisarz fran-  
cuski, był przez długie lata sekretarzem  
Akademii Nauk w Paryżu. Podczas jednego  
ze spotkań członków Akademii urządzono  
składkę na pomoc dla ubogich. Każdy z  
obecnych miał złożyć na tacę ludora.  
Po przeliczeniu okazało się, że brak jest

jednego ludora. Podejrzewano, że nie dał  
go jeden z członków Akademii znany ze  
skąpstwa. Zapytany w tej kwestii, zapewnił  
jednak, że złożył swoją ofiarę. Na to zbiera-  
jący składkę rzekł:

— Nie widziałem wprowadzić, abyś pan dał  
ludora, ale wierzę.

— A ja — odezwał się wówczas Fontenelle

— widziałem, ale nie wierzę!

Mark Twain, odbywając podróż koleją,  
spotkał w przedziale historyczkę, która przy  
każdym szarpnięciu pociągu wykrzykiwała:

— Co się stało? Katastrofa?

Drażniło to niesamowicie Twaina, ale nie  
dawał znać po sobie. Dopiero, gdy w spo-  
sób bezpośredni zwróciła się do niego z za-  
pytaniem, czy się nie boi katastrofy, odpo-  
wiedział:

— Nie, tego się nie obawiam, przepowię-  
dziano mi bowiem, że zginę na szubienicy.

Wyszperal: Ryszard Dunin

## Krzyżówka nr 10 z szyfrem

Poziomo: A. wakuum • finansowy dowód przynależności organizacyjnej • szyderstwo, złośliwa ironia C. twór roślinny lub zwierzęcy zdolny do samoodnawiania • odwrotność kupna, D umowa, układ • kropka • twórca imperatywu katerycznego E. porw. pln. Holaridii • bohater Wergiliuszowskiej epopei F. zapach spalenizny • atak lotniczy • podmiejska dzielnica Warszawy G. zawody sportowe • stolica europejska H. derka, łoc • stała rubryka w gazecie • przeciwnik zasad I. wadium • dawna rosyjska miara długości J. stan USA • grobla • przed portem K. grupa skrajnych • miesiąc M. kość z zębami • średnica lufy • kraj skandynawski.

Pionowo: 1. kończy pismo • Henryk książę wrocławski, który chciał zjednoczyć ziemie polskie 3. jedno z 25 w biegu na 10 km 4. dowcip • eksponat 6. płynie przez Puszcę Goleniowską • np. poprzednie hasło • klepisko 8. kontrtorpedowiec 10. kolega, kumpel • państwo pln. amerykańskie 12. kamień po goleniu • autor „Myśli nieuczczonych” • obniżają gatunek desek 14. szpadryna • ranne pantofle 16. np. „przed” w słowie „przedświt” 18. angielskie piwo • w oknach • pojazd 20. dał imię dawnej stolicy • fragmenty omaszto- wań do wieszania 21. wieś z dworkiem Konopnic- kiej 23. do wytopu stali • dworzec kolejowy.

SZYFR

M22. F23. A4. J22. C21. F3. I8 / J16. J23. L12 / C10. A6. K12. C19. K15. G18 / F12. L14. H21. G7. K20. A23 / F22 / M19. K19. H23. A11. H11 / H4. E8. J3. F2. I7. L23. C18. G19. E7 / C14. M12. M5 / A17. D23. I18. J14. A5. C6 / K6. A15 / B16. J4. B18. I16. M9. A18 / M21. L6 / H6. M15. H16. D20 / D4. J1 / A12. H2. K1. B10 / D10. I21. L20. K10. H10 / D21. M11. H18. G21 / J10. C3. K18. E10 / M13. D11. L10. B1. H21. M23 / A9. L1. K7. C16. K15. C20. L8. E1. D8. I23. H8. K14. E19. I19. J13 / H20. G16. L4. E9 //

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	
A																								
B																								
C																								
D																								
E																								
F																								
G																								
H																								
I																								
J																								
K																								
L																								
M																								

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 8 Z SZYFREM**  
Pozłomo: Kapitał, przepis, radio, Golem, cz. tek, obol, wale, szpinak, aromat, zapole, Nil, koń, Kościelec, suk, Oka, odwłok, cielak, narcoza, ogar, owce, Tybet, trasa, nylon, wydział, rajtuzy.

Pionowo: Koloman, idol, areszt, lam, pic, rozkaz, elew, styczeń, Gogol, kapok, Wieliczka, samogon, Karelia, Rijad, lotka, Sokolów, kwiat, oliwa, akcenty, Kamena, Czarna, rydz, oset, tył, tor.

**SZYFR**  
Człowiek, który cały dzień gada, nigdy nie nie wymyśli.  
David Weiss „Nagi wyszedłem” Goya  
Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 8 nagrodę wylosował Antoni Lewczuk, ul. Piaskowa 69 m. 31 31 000 Białka Podlaska